

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 06 (175) Czerwiec 2019



Krystyna Janda z medalem „Za mądrość obywatelską”!

Opowieść aktorki o trafianiu w czas

Dziedzictwo i wolność – miasta UNESCO i rocznica czerwca 1989

„Kraków” na festiwalu kryminału

9 771733 045903 06
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

twierdzą, że istota ich tożsamości jest niezmienna. Pamięć zbiorowa bardziej rekonstruuje, niż rejestruje przeszłość. Bo historia i pamięć to dwie różne kwestie. Opierając się na tych obserwacjach, francuski badacz Pierre Nora wprowadził w roku 1984 pojęcie „miejsc pamięci” (*lieux de mémoire*), inicjując rozwój tak zwanej historii drugiego stopnia. Historia drugiego stopnia przenosi nas w świat pamięci zbiorowej, gdzie historia jest nie tyle opisany fakt, co formą pamięci współczesnych. Tak rozumiane miejsca pamięci konstytuują naszą tożsamość. Składają się one zarówno z elementów materialnych, jak i niematerialnych, są bowiem długotrwałymi, utrzymującymi się przez pokolenia katalizatorami zbiorowej pamięci i tożsamości, które stanowią część społecznych, kulturowych i politycznych zwyczajów.

2.

Kraków już w I połowie XIX wieku stał się szczególnym miejscem pamięci Polaków i szczególnie przypadkiem „gry w dziedzictwo”. Epoka romantyzmu i romantyczne pojmowanie dziejów pozwoliły wówczas na nowo odczytać mit Krakowa, dawnej stolicy Polski: stał się on symbolem wielkiej przeszłości narodu pozbawionego niepodległości, świętym miejscem Polaków. Uroczyste pogrzeby bohaterów walki o wolność: księcia Józefa Poniatowskiego (w 1817) i Tadeusza Kościuszki (w 1818), potwierdziły funkcję Wawelu jako narodowego panteonu. Kraków był nie tylko „księgą historii” i „polskim Rzymem”, ale i miastem protoplastą, a niekiedy i „polską Troją”. Szczególną formą tworzenia w Krakowie mitologii narodowej i jego sakralizacji stało się usypanie przed 200 laty kopca Kościuszki jako polskiej Statui Wolności!

Sen o wolności był bowiem immanentnie wpisany w misję świadomie wypełnianą przez

Kraków przez cały wiek XIX. Kumulacja dziedzictwa była dla Polaków źródłem marzeń o odzyskaniu wolności. Dzięki potędze przeszłości Kraków stał się miejscem integrującym wszystkich Polaków. Na przełomie XIX i XX wieku pełnił funkcję centrum polskiego życia narodowego. Symbolem tej misji Kraków stał się odrestaurowany gmach Sukiennic, który uroczystie otwarto w roku 1879. Ten Pałac Handlu przekształcony w Świątynię Muzy przeznaczono na siedzibę założonego przez miasto pierwszego polskiego Muzeum Narodowego. Sukiennice szybko więc stały się zarówno pomnikiem pietyzmu wobec dziedzictwa, jak i szczególnego poczucia misji Krakowa wobec Polski. Samorząd miejski świadomie pełnił funkcję substytutu nieistniejącego państwa polskiego, realizując ambitny program przekształcenia miasta w duchową stolicę narodu. Kraków schyłku wieku XIX stał się dla Polaków ze wszystkich zaborów oazą wolności. Tu można było napawać się polskością. Tu działały polskie instytucje kulturalne i naukowe o znaczeniu ponadzaborowym. Rozwijało się polskie życie artystyczne, polska prasa, polska książka i polska szkoła. U progu I wojny światowej w Krakowie skupiła się działalność najważniejszych ugrupowań niepodległościowych. Nie przypadkiem więc Józef Piłsudski w sierpniu 1914 roku wyruszył z Krakowa na czele legionów polskich do walki o wolność. Kraków zajmuje więc szczególne miejsce w polskiej narracji historycznej związanej z Niepodległością roku 1918. Jest ona rozpięta pomiędzy legendą Oleandrów, pomnikową postacią komendanta Józefa Piłsudskiego i wymarszem Pierwszej Kompanii Kadrowej 6 sierpnia 1914 roku, a rozbiciem żołnierzy austriackich i wybuchem wolności na Rynku Głównym 31 października 1918 roku. Zmarły w maju 1935 marszałek Józef Piłsudski został pochowany wśród królów i największych bohaterów na Wawelu, a wdzięczny naród usypał Ojcu Niepodległości kolejny kopiec.

3.

Jest więc dziś Kraków nie tylko skarbnicą z pietyzmem konserwowanego dziedzictwa dla wolności, ale i strażnikiem symboli naszej wolności. To nie tylko Wawel (czy jak chciał Wyspiański Polska Akropolis) i kopce narodowych bohaterów, ale i na przykład krakowskie Błonia jako łąka Wolności przechowująca zarówno pamięć Oleandrów roku

1914, jak i wspomnienie historycznej wizyty Papieża Polaka w roku 1979. Pragnienie wolności manifestowane przez Polaków w ciągu ostatnich dwóch stuleci wpisane jest mocno w przestrzeń Krakowa. To immanentna część dziedzictwa kulturowego miasta. Bo dziedzictwo to nasza pamięć, nasz wybór i nasza tożsamość.

Rozumienie dziedzictwa wyszło już dzisiaj z matczynika dziewiętnastowiecznego, statycznego myślenia o zabytku, zamkniętego w gorsecie narodowych mitów, przesądów i stereotypów. Pierre Nora podkreśla, że dziedzictwo, „które do niedawna jeszcze oparte było na wyborze najstarszych, najpiękniejszych i najdoskonalszych wytworów »narodowego geniuszu«, zmienia znaczenie. Przesądza o tym również masowość zjawiska. Nie przypadkiem więc „Epoką Upamiętniania” francuski badacz określa fenomen ostatnich dziesięcioleci. Kondycja naszej pamięci poddawana jest codziennie trudnym próbom.

Bo przeszłość i pamięć to nie tylko złożona materia. Pamięć w odróżnieniu od historii nie musi być jednoznaczna! Mamy więc dzisiaj do czynienia nie tylko z odzyskiwaniem pamięci i polifonią pamięci, ale może przede wszystkim z konfliktami pamięci – z pamięcią „naszą i waszą”, z pamięcią kłopotliwą, z manipulacją pamięcią, z jej sakralizacją, zawłaszczaniem i instrumentalizacją. Polska jest dzisiaj wielkim polem bitwy o pamięć!

*

Jak dzisiaj historia 4 czerwca 1989 roku wpisuje się w dziedzictwo dla Wolności i w dziedzictwo Wolności? Jak jest miejsce tego najmłodszego wybuchu naszej wolności w pamięci zbiorowej krakowian? Dziedzictwo nie istnieje, jeśli nie istnieje świadomość jego wartości.

Nasza pamięć o 4 czerwca 1989 roku jest więc dziś testem na nasze przywiązanie do dziedzictwa Wolności i przywiązania do świata wartości jaki ten dzień symbolizuje. Kraków nie potrzebuje dziś kolejnego Kopca Wolności i Niepodległości. Według Pierre Nora „dziedzictwo zakończyło epokę historii, narodu i zabytków na rzecz epoki pamięci, społeczności i tożsamości”. A skoro tak, to mocno zakorzeniony w naszej europejskiej tradycji kult przeszłości, staje się przede wszystkim naszym „obowiązkiem

Nasza pamięć o 4 czerwca 1989 roku jest dziś testem na nasze przywiązanie do dziedzictwa Wolności i przywiązania do świata wartości jaki ten dzień symbolizuje. Kraków nie potrzebuje dziś kolejnego Kopca Wolności i Niepodległości.

pamięci”, tej indywidualnej i tej zbiorowej. Czas więc dziś wpisać dziedzictwo tamtej „Solidarności” i jej triumfu 4 czerwca 1989 roku w nasz krakowski obowiązek pamięci. Jeśli „dziedzictwo jest funkcją miejsca i opcją rozwoju”, to zależy przede wszystkim od nas! Zależy od systemu wartości, jaki przyjmujemy jako społeczeństwo. Bo kultura to umiejętność dziedziczenia!

Od niej więc zależy przyszłość naszej przeszłości.



Jacek Purchla – (ur. 1954) – historyk sztuki i ekonomista, profesor zwyczajny nauk humanistycznych, specjalista z zakresu dziedzictwa kulturowego i historii miast. W latach 1990-91 – wiceprezydent Krakowa,

potem założyciel i wieloletni dyrektor Międzynarodowego Centrum Kultury, nauczyciel akademicki Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie i Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Polskiej Akademii Umiejętności. Jest członkiem wielu organizacji krajowych i zagranicznych, m.in. Polskiej Akademii Umiejętności, Komitetu Nauk o Sztuce PAN, Polskiego Komitetu ds. UNESCO, Rady Europa Nostra w Hadze; pełnił też funkcję przewodniczącego Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO. Od roku 1989 jest redaktorem „Rocznika Krakowskiego”. Autor kilkunastu książek, głównie powiązanych z tematyką krakowską, m.in.: *Jak powstał nowoczesny Kraków* (1979), *Matecznik Polski. Poważne czynniki rozwoju Krakowa w okresie autonomii galicyjskiej* (1990), *Kraków w Europie Środka* (2000), *Gry w miasto* (2011).

**TEMAT MIESIĄCA:
WOLNOŚĆ I DZIEDZICTWO****Czerwiec '89. Ruszyła wielka fala**

Jerzy Sadecki

s. 13

Spółczesność, przymuszone do jakiejś z góry zaplanowanej jedności nie staje się wskutek tego społeczeństwem silnym. Przeciwnie, robi się bezbronne, niezaradne i nie-twórcze. To tak jak z lasem złożonym z jednego tylko gatunku drzew – jeśli na takie drzewa rzuci się szkodnik, cały las w krótkim czasie ulega zniszczeniu (Wisława Szymborska, wypowiedź z maja 1989).

Dziedzictwo. Kraków. Wolność Marmurem i żelazem

Jacek Purchla

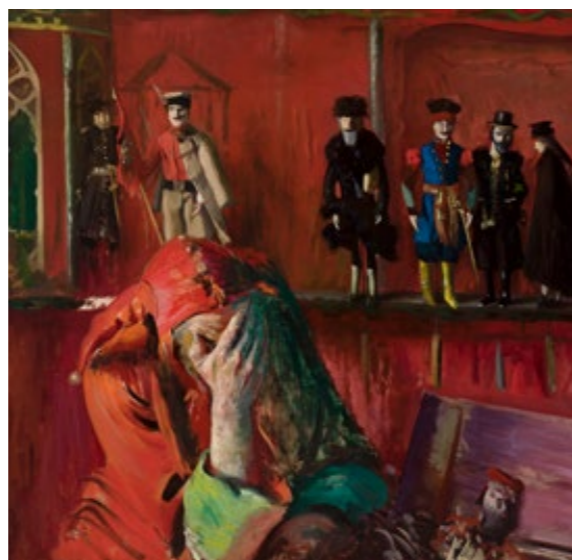
s. 1

– z Krystyną Jandą / Maria Malatyńska

s. 20

Fatalna pomyłka Paweł Smoleński

s. 40

**ESEJ****Fotografia – nic nie jest oczywiste**

Jan Barański

s. 26

KRAKÓW MÓWI**Na szlaku piękna**

– ze Stanisławem Dziedzicem / Witold Bereś

s. 29

Erec, czyli ziemia (Festiwal Kultury Żydowskiej)

Jakub Wydrzyński

s. 34

Narkomani obrazów

– z Tomaszem Gutkowskim / Ewa Kozakiewicz

s. 42

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA**Rekomendacje: Festiwal im. Jarka Śmietany** s. 46**Rekomendacje: Dziedzictwo świata / wystawa**

Jacka Balcewicza s. 52, 64, 72, 73

Po piąte: nie zabijaj (festiwal kryminału)

Iga Dzieciuchowicz

s. 54

Rekomendacje: Sarkis w Cricotece

s. 63

Kronika kulturalna

s. 89

Krakowski łącznik

s. 90

Kraków (Główny)

s. 91

Linia A–B

s. 92

OBYWATELE KRAKOWA**Najlepsze czasy dla fryzjerów (Grzegorz Lewko)**

Paweł Kopeć

s. 8

HISTORIA**FOTO-RETRO** Krzysztof Jakubowski

s. 10

KALENDARIUM KRAKOWSKIE Czerwiec 1919

Krzysztof Jakubowski

s. 59

BYŁO, NIE MINĘŁO Jan Pieszczachowicz

s. 78

TEATR**Drugi Ostatni Mohikanin** Paweł Głowacki

s. 66

FILM**Z Wajdą pod powiekami** Maria Malatyńska

s. 74

LITERATURA**Jestem trudnym człowiekiem**

– z Zośką Papużanką / Elżbieta Wojnarowska

s. 70

KSIĄŻKI**Nasza biblioteka**

s. 84

GALERIA „KRAKOWA”**Beata Stankiewicz** Paweł Kopeć

s. 48

FELIETON**NA CZERWONYM ŚWIECIE** Ewa Lipska

s. 5

OKIEM BERESIA Witold Bereś

s. 6

Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko

s. 7

SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma

s. 81

Z WARSZAWY Magdalena Miśka-Jackowska

s. 82

BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz

s. 83

PASY PANY Jerzy Pilch

s. 96

OKŁADKA**Krystyna Janda** Fot. Alicja Rzepa

Szanowny Panie Redaktorze,

w politycznej oborze wrze. Prezes zaoferował na każdą krowę 500 złotych. Gdyby Pan Redaktor miał kilka krów, to mógłby Pan leżeć bykiem. Trzeba tylko uważać, aby krowie nie podłożyć świni, bo będzie tylko stowa. Ale pańskie oko krowę tuczy...

Z hodowlanymi pozdrowieniami

el



Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Wszyscy za Jandą

Tekst: Witold Beres

Krzysztof Burnetko, dr Stanisław Dziedzic, Zofia Gołubiew, Krzysztof Jasiński, Ewa Lipska, Maria Malatyńska, Jan Pieszcachowicz, prof. Andrzej Romanowski, prof. Stanisław Waltoś, Andrzej Wyrobiec i niżej podpisany – czyli Jury Medalu za Mądrość Obywatelską nie miało wątpliwości – Krystyna Janda ze wszech miar jest godna tego wyróżnienia.

Aktorka mądrość, ale i odwagę udowodniła już w swoim debiucie, czyli *Człowieku z marmuru*. Andrzej Wajda był reżyserem, który aktorom pozostawiał wiele wolności. A aktorka wykorzystała to brawurowo. Jej kreacja oparta na wnikliwej obserwacji charakterów PRL-owskiej rzeczywistości stała się symbolem oporu przeciwko systemowi: fałszowaniu historii, układom, kłamstwom państwowej telewizji i represjom wobec tych, którzy wolności bronili. Przeciwno bezprawiu i niesprawiedliwości.

Ten sam przekaz potwierdzała w kolejnych rolach. Ale także – co nie jest bez znaczenia – postawą w trudnych latach stanu wojennego i końcówce PRL.

Między innymi dzięki takim ludziom nadeszła wolna Polska. I mogło się wydawać, że artyści będą mogli oddać się tylko sztuce.

Krystyna Janda założyła własny teatr, który okazał się sukcesem zarówno artystycznym, jak organizacyjnym. Grała, reżyserowała.

Lecz nadeszły czasy, kiedy nie tylko mądrość, ale i odwaga znowu stały się dobrami cennymi. Bo czasem opresyjne przepisy prowokują sprzeciw i wymagają obywatelskiego nieposłuszeństwa. Ale też – wynikającego z rozsądku, czyli mądrości – oporu w stosunku do *vox populi*: poglądów, sympatii i nastrojów prezentowanych przez wielu rodaków.

Krystynie Jandzie – za mądrość, która w dzisiejszych czasach jest też odwagą, oraz za niezwykle wzruszenia artystyczne, które dają nam także obywatelską nadzieję.

Za przywiązanie do zasad – nawet tych zdawałoby się oczywistych – znowu trzeba płacić. A to szukanami administracyjnymi, a to wysłuchiwaniami obelg i pogroźek.

Aktorka wciąż wykazuje i mądrość, i odwagę. Płaci za to sporo. Ale to cena zachowania przyzwoitości. By odwołać się do powiedzenia Władysława Bartoszewskiego: warto być przyzwoitym, choć często się to nie opłaca.

Krystyna Janda daje nam aż nadto powodów, że należy ją uhonorować medalem „Za mądrość obywatelską”.

Za mądrość, która w dzisiejszych czasach jest też odwagą, oraz za niezwykle wzruszenia artystyczne, które dają nam także obywatelską nadzieję.

* Nie jest przypadkiem, że medal „Za mądrość obywatelską” wręczamy w tym roku 1 czerwca, a więc tuż przed trzydziestą rocznicą pierwszych w Polsce od II wojny światowej wolnych wyborów. Oznaczały one *de facto* upadek systemu komunistycznego. A były wynikiem wielkiej obywatelskiej mądrości ówczesnych elit, polegającej na łączeniu politycznego rozsądku z odwagą i determinacją.

Już wtedy zdumiewał fakt, że tak wielu rodaków patrzyło obojętnie na przełomowe, także dla ich osobistych losów, wydarzenie. Do urn poszło bowiem ledwie 62 proc. uprawnionych, więc mniej niż wtedy, kiedy głosowania były jedynie propagandowym rytuałem.

Niestety, ten stan świadomości zdaje się utrzymywać.

Co robić?

Receptą jest kultura i edukacja. Na *Człowieka z marmuru* i *Człowieka z żelaza* do kin waliły tłumy – a w efekcie dzieła te stały się początkiem oporu. Dziś sale pełne są także na spektaklach Krystyny Jandy.

A w sferze publicznej nareszcie tak bardzo aktywne są kobiety.

To ważne. Nie tylko dlatego, że to one, po cichu, przyniosły Polsce wolność – jak pisała Amerykanka Shana Penn w swoim głośnym eseju o pierwszej „Solidarności”, gdzie stawiała tezę, że to kobiety obaliły komunizm w Polsce w 1989 roku (*Sekret Solidarności*).

I nie dlatego, że są na ulicach w czasach rodzącego się autorytaryzmu, organizują „czarne protesty” i już nie zgodzą się być traktowane przedmiotowo.

Ale jest coś ważniejszego: kobiety na co dzień przynoszą światu empatię, łagodność i profesjonalizm. To kobiety chodzą do kina, czytają książki, to kobiety chętnie uczestniczą w spotkaniach i debatach.

To kobiety nie boją się wyrażać swych opinii.

To one dają Polsce wolność codzienną, dosłowną, i metaforyczną.

Może to one przyniosą nam nowe?



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Dziedzictwo, czyli walka o pamięć

Tekst: Krzysztof Burnetko

Czterdzieści lat temu odszedł Antoni Gołubiew, ciekawy publicysta, wybitny prozaik, a na pewno ważna postać „Tygodnika Powszechnego” epoki Jerzego Turowicza. Najistotniejszy jest jego wkład w myśl polityczną, która wciąż warta jest uwagi.

Jest bowiem Gołubiew (1907–1979) autorem dwóch powieści, które i dziś lubią być powtarzane, tyle że z opaczny komentarzem i wykoślawiającą interpretacją.

Jesienią 1957 roku, w rok po przełomie październikowym i objęciu władzy w PRL przez Władysława Gomułkę, publikuje Gołubiew tekst *Polska leży nad Wisłą*. Píše między innymi: „... w umysłowości Polaków na Emigracji nastąpiły bardzo istotne zmiany po Październiku. Oczywiście wielu z nich nie zmieniło swej zasadniczej orientacji, wedle której obecne Państwo polskie nie jest Polską, a każdy, kto Państwo to uznaje, działa niezgodnie ze sprawą narodową. (...) Faktem zaś jest, że Polska leży nad Wisłą, żyjąc w faktycznej prawno-ustrojowej formie dzisiejszego Państwa polskiego. Kto – choćby z miłości do Polski – zaprzecza temu faktowi, niezależnie od swych intencji musi się od ojczyzny odrywać. I właśnie wtedy sam się wydziedzicza – choć tego właściwie nikt nie chce: ani on, ani my...”

Głęboki sens tego tekstu zasada się nie na przekreśleniu emigracji, ale na myśleniu pozytywnym i odrzuceniu obojętności fatalizmu. A Polakom proponuje, w ekstremalnie trudnych przeciw warunkach ograniczonej suwerenności, poszukiwanie własnej drogi i – jakby zaśpiewał Młynarski – „robienie swojego”.

Myśl druga Gołubiewa, którą chętnie powtarzał, brzmi: „Zawsze jest inaczej”. Nie w takim sensie, że uczymy się o bohaterach, a naprawdę byli to łajdacy, ale w takim, że historię, owszem, trzeba znać, ale nie wolno jej bałwochwalczo transponować do innych czasów, a już zwłaszcza – szukać w niej usprawiedliwienia porażek.

Gołubiew jako pisarz staje się niestety z wolna zapomniany, choć *Bolesław Chrobry*, jego *opus magnum*, jest nie tylko fundamentalną powieścią historyczną, ale i księgą, z której winniśmy wyciągać wnioski, byle nie łudzając się, że dziś któryś z polityków uczyni coś podobnie wielkiego jak jego dalecy protopląści.

Bo cały ówczesny „Tygodnik” patrzył na historię jak na wspólne dobro, które – aby cokolwiek znaczyło dla współczesnych – musi być przedstawiane bez pasji ideologicznej. Bez siłowego odburzawiania, ale tym bardziej bez rzekomego wstawiania z kolan, by budować coś dla pokrzepienia serc (stąd choćby silnie obecny na łamach „Tygodnika” krytyczny stosunek do powstania warszawskiego).

W drukowanym na łamach „Tygodnika” cyklu *1000 lat między Wschodem a Zachodem* Gołubiew zauważa przenikliwie: „Chcąc odpowiedzieć na pytanie, czy Polska w ciągu tysiąca lat swojej historii miała złe czy też dobre położenie geopolityczne – i wyciągnąć z tego wnioski na dzisiaj, należy sprawę

Myśl Gołubiewa, którą chętnie powtarzał, brzmi: „Zawsze jest inaczej”. Nie w takim sensie, że uczymy się o bohaterach, a naprawdę byli to łajdacy, ale w takim, że historię, owszem, trzeba znać, ale nie wolno jej bałwochwalczo transponować do innych czasów, a już zwłaszcza – szukać w niej usprawiedliwienia porażek.

tę prześledzić szczegółowo, na konkretnym, historycznym materiale. Zobaczmy wtedy, że wyglądała ona w różnych czasach rozmaicie, a zależała w dużo mniejszej mierze od »poczciwości« czy »niepoczciwości« sąsiadów niż od własnej naszej świadomości, woli, patriotyzmu i rozumnego działania lub też od niedostrzegania zadań i możliwości, egoizmu, lenistwa i bierności”.

Tak naprawdę *Bolesław Chrobry* staje w czasach PRL na czele wielkiej batalii o pamięć. Bo opowieść o polskim dziedzictwie zaskakująco łatwo spina się z opowieścią o wolności, ale i o dystansie – aby opowiadać może nie na kolanach, ale z dystansem o sobie i własnej historii. To była nasza, opozycyjna wobec zamordystycznej władzy batalia.

Coś dodać w czasach Rzeczypospolitej Złej Zmiany?

Czy po stronie Polski wolności ktoś będzie w stanie wyciągnąć z tego jakieś wnioski? Czy mamy współczesnego Gołubiewa? Lub przynajmniej potrzebę odkłamania i wyrwania historii z łap Instytutu Pamięci Narodowej?



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Najlepsze czasy dla fryzjerów

Tekst: Paweł Kopeć Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

W czasie rozmowy nie spuszcza z oczu moich włosów, najchętniej natychmiast posadziłby mnie na fryzjerskim krześle. Od razu widać, że dla Grzegorza Lewko strzyżenie to nie tylko zawód, a przede wszystkim pasja. Doceniają ją klienci – w ubiegłym roku czytelnicy „Gazety Krakowskiej” uznali go za najlepszego fryzjera w Krakowie.

Nie ma czegoś takiego jak trudne włosy. Nie ma włosów beznadziejnych. Są tylko tacy, którzy nie potrafią ich ostrzyć. Do każdego włosów trzeba znaleźć odpowiednią technikę i styl. To jest być albo nie być w zawodzie fryzjera. W tej branży klient przychodzi nie do salonu, ale do konkretnej osoby. Fryzjer bez stałych klientów to żaden fryzjer.

Nie planowałem takiej ścieżki kariery. Któregoś dnia teść, który był fryzjerem, zaproponował mi naukę zawodu. Miałem wtedy 25 lat – sporo jak na tę branżę. Dzisiaj dzieciaki muszą decydować, czy chcą być fryzjerami zaraz po szkole podstawowej. Szybko się jednak okazało, to była najlepsza decyzja w moim życiu. Salon, który prowadzę, to lokal z tradycjami. Najpierw działał tuż przy Rynku, w Pasażu Bielaka. W 1963 roku został przeniesiony do Hotelu Polskiego, tam działał przez ponad pół wieku, tam nauczyłem się wszystkiego, co dziś potrafię. Dopiero dwa lata temu w wyniku decyzji dzierżawcy musieliśmy przenieść się na Karmelicką. Z moich informacji wynika, że to dzierżawca wyszedł gorzej na tej decyzji.

Co czyni dobrego fryzjera? Myślę, że najważniejszym czynnikiem jest jakość usług. U nas wciąż panuje stara maksyma „klient nasz pan”. Tutaj się słucha, czego klient oczekuje, niczego się nie narzuca. My nazywamy się fryzjerami, a nie stylistami, jak jest teraz modnie. Wiemy, że to klienci i klientki muszą się czuć dobrze w nowych włosach. My możemy co najwyżej służyć radą. To przecież klient chodzi potem z daną fryzurą. Jeżeli nie wykonujesz dobrze swojej pracy, to nie pomoże ci ani najpiękniejszy salon w mieście, ani żadne inne dodatki.

Skąd pewność, że jestem dobry? Proszę zapytać moich klientów. Większość z nich jest z nami od lat. Natomiast nowi, którzy

przychodzą, zazwyczaj zostają na stałe. Są wśród nich wielkie krakowskie nazwiska: teść strzygł między innymi Andrzeja Wajdę, Krzysztofa Pendereckiego czy Kazimierza Witkiewicza... Oni wszyscy zostali, kiedy przejąłem prowadzenie salonu. Pojawili się też kolejni, na przykład Robert Makłowicz, reżyser Stefan Szlachtycz czy nieżyjący już niestety Janusz Muniak. Mam szansę spotykać mnóstwo ludzi z różnych branż. Wielu rzeczy dowiaduję się od nich. Dlatego mówi się: „idę do fryzjera, to się dowiem, co się dzieje w Krakowie” – i tak jest!

Zajmuję się tym, co kocham, i nic nie wskazuje, że mogłoby mi się to kiedykolwiek znudzić. Żyjemy w najlepszych czasach dla fryzjerów. Dzisiaj nie ma już rzeczy, które absolutnie dominują modę, nie każdy musi wyglądać dokładnie tak samo. Dopasujemy fryzurę do osoby, a nie do sztywnych wymogów mody. To jest jak z ubiorem – możliwości jest mnóstwo. Na co dzień strzyżemy włosy i dłuższe, i krótsze, więc fryzjer może się dzisiaj spełniać od A do Z.

Co przyniesie przyszłość? Trudno powiedzieć. O salon się nie boję. Choć go do tego nie namawiałem, za nożyczki złapał też mój syn Piotr i strzyże teraz u mojego boku. Czasy się zmieniają, ale pewne rzeczy trwają – jak to w Krakowie.



Paweł Kopeć – gdańszczanin na powieście, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.



Dom Wajdów na Zwierzyńcu

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: archiwum autora

Począwszy od 1930 roku, przekalowana kamienica przy ul. Emaus 7 górowała nad okolicą niczym ostaniec. Dopiero w XXI wieku obstawiono ją budynkami o podobnej wysokości, zwanymi – ku pokrzepieniu serc nielicznych właścicieli tamtejszych mieszkań – apartamentowcami.

Kamienica ta była groźnym precedensem właśnie ze względu na wysokość. Na przedstawionej fotografii widać, że pięć pięter (wówczas bez windy!) w otoczeniu parterowej zabudowy musiało robić piorunujące wrażenie. Dodatkowo autor projektu Adam Ślęzak wykonał sprytny zabieg polegający na obniżeniu przyziemia i posadzki tuż za bramą wejściową, przez co sutereny stały się formalnie parterem, a parter pierwszym piętrem. Według zaleceń Urzędu Budownictwa było

to rozwiązanie tymczasowe, do czasu ewentualnego podniesienia poziomu ul. Emaus. Nie wiedzieć tylko czemu zakładano podniesienie poziomu ulicy aż o około 1,5 m, co oczywiście nigdy nie nastąpiło i raczej nie było planowane. Dlatego budynek traktowany był formalnie jako czteropiętrowy.

Kamienica przy ul. Emaus 7 wzniesiona została przez zasłużonych dla zwierzynieckiej społeczności braci Wojciecha i Augustyna Wajdów, na tyłach starszego domu (ul. Królowej Jadwigi 9), mieszczącego ich – znany w Krakowie – warsztat ślusarski. Prezentowaną tu fotografię wykonano zapewne wkrótce po oddaniu domu do użytku (ok. 1935 roku). Ponad dachem widoczna jest ozdobna kratownica z datą budowy, wykonana w rodzinnym warsztacie, w modnej wtedy manierze *art déco*. Niestety, przed kilku laty nowy właściciel bezdusznie zdemontował jej pozostałości.

Przypomnieć należy, że na początku okupacji w domu tym zamieszkali dwaj inni bracia z tej rodziny, bratankowie Augustyna i Wojciecha. Mowa o przyszłym mistrzu polskiego kina Andrzeju Wajdzie, mieszkającym tam aż do chwili opuszczenia Krakowa w 1949 roku, oraz jego młodszym bracie Leszku, który zasłynął jako scenograf i architekt wnętrz, późniejszy profesor krakowskiej ASP.

Warto jeszcze rzucić okiem na niewielki, mocno sfatygowany parterowy dom należący wówczas do restauratora Leona Wildsteina (widać go we fragmencie po lewej). Nie dziwi, że zaleceniem komisji budowlanej z kwietnia 1937 roku został on przeznaczony do rozbiórki. Wyrok wykonano w następnym roku.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Czerwiec '89. Ruszyła wielka fala

Tekst: Jerzy Sadecki Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

„Tutaj otwarta została droga do wolnej i niepodległej Polski” – głosi tablica pamiątkowa obok wejścia do kamienicy przy ul. Siennej 5.

Trzydzieści lat temu pierwszą stacją na tej drodze zapamiętałem tak: duża sala portretowa Klubu Inteligencji Katolickiej, wielkie i ciemne obrazy na ścianach, skrzypiąca ze starości podłoga. Góry ulotek, plakatów wyborczych. Mnóstwo ludzi. Urywają się telefony. Za przeszklonymi drzwiami na okrągło pracują dwa powielacze. Rosną stopy list z poparciem dla kandydatów – w Krakowie podpisało się na nich 217 tysięcy osób. „Cegiełki” na sfinansowanie kampanii idą jak woda, trzeba robić dodruk. Brak też miejsca, więc „lokalówka” przydziela kolejne pokoje w kamienicy.

Cały ten rozgardiasz trzymają żelazną ręką Aldona Pawelec i Ewa Markowska. Spokój wprowadza dystygowana postać Andrzeja Potockiego, prezesa KIK, który wzrostem przewyższa wszystkich wkoło. Rezygnuje on z proponowanego mu przez „Solidarność” miejsca na liście do Senatu, by pokierować sztabem wyborczym. KIK na kilka tygodni oddaje swoją siedzibę na Siennej Małopolskiemu Komitetowi Obywatelskiemu (MKO) „Solidarność”.

– Zadanie było karkołomne, bo nie mieliśmy ani doświadczenia, ani pieniędzy, ani środków technicznych. A czasu było mało – opowiada Tadeusz Skiba, wówczas sekretarz KIK odpowiedzialny za zespół organizacyjno-prawny MKO. – Ale już pierwsze dni przekonały nas o fantastycznej ludzkiej inicjatywie i ofiarności. Ruszyła wieka fala. Nikt nie pyta za ile, ludzie biorą urlopy, zmieniają plany życiowe. Starsza pani sprzedaje obraz z rodzinnej kolekcji i przynosi 200 tysięcy ówczesnych złotych. Kwiatciarki z Rynku pożyczają nam wózki do przewiezienia krzeseł na posiedzenie MKO, darmowy transport oferuje znany piłkarz Ryszard Sarnat, prowadzący wtedy firmę przewozową – relacjonuje Skiba.

Na Siennej zbiegają się wszystkie nici solidarnościowej kampanii z Krakowa i sąsiednich województw. Tu 10 kwietnia 1989 roku odbywa się pierwsze posiedzenie MKO. Liczy on około 200 osób i sala portretowa KIK ich nie mieści. Tłoczą się na schodach.

Społeczeństwo przymuszone do jakiegś z góry zaplanowanej „jedności” nie staje się wskutek tego społeczeństwem silnym. Przeciwnie, robi się bezbronne, niezaradne i nietwórcze. To tak jak z lasem złożonym z jednego tylko gatunku drzew – jeśli na takie drzewa rzuci się szkodnik, cały las w krótkim czasie ulega zniszczeniu. Co innego lasy mieszane, złożone z wielu gatunków, z gęstym, różnorodnym poszyciem. Są nie tylko piękniejsze, ale i odporniejsze na choroby, wytrzymalsze na huragany. Jak widać, nawet sama przyroda zachęca do działań prowadzących nas do normalnej demokracji.

(Wisława Szymborska dla „Głosu Wyborczego Solidarności”, 21 maja 1989)

Wkrótce MKO, na posiedzeniu w klasztorze oo. Bernardynów, decyduje, że solidarny Kraków będą reprezentować w wyborach do Senatu prof. Roman Ciesielski i Krzysztof Kozłowski, a do Sejmu Jerzy Zdrada, Józefa Hannelowa, Jan Rokita oraz dwaj przywódcy „Solidarności” w Nowej Hucie: Mieczysław Gil i Edward Nowak.

Tacy nasi, piękni

1 maja. Z Wawelu idzie radosny pochód „Solidarności” – na czele jej kandydaci do parlamentu. Po raz pierwszy bez obawy, że zaatakuje ZOMO. Scena na Rynku Głównym. Mieczysław Gil woła z żarem i mocą: – Stańmy razem w jednej drużynie, w drużynie Lecha Wałęsy! – Jesteśmy w jednej drużynie – dopowiada Leszek Moczulski, lider KPN,

choć w Krakowie na liście bezpartyjnych konkuruje z Janem Rokitą z drużyny Lecha. Potem wszyscy skandują „So-li-dar-ność”.

Kościół w Mistrzejowicach. Tłum wiernych, ks. Kazimierz Jancarz tłumaczy, że choć wybory nie są w pełni demokratyczne, „mamy szansę wybrać do Sejmu i Senatu walczących, zatroskanych o los ojczyzny wolnej, niepodległej i solidarnej. Myśmy tę ojczyznę na kolanach wymadlali przez lata”. Ale ks. Jancarz nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił: „Fredro mówił, że dotknięcie tronu zmienia człowieka”. Rokita deklaruje: „Nie obawiajcie się, że się zmienimy. To jest po prostu niemożliwe”.

– Na jednym ze spotkań słyszymy, że nie musimy nic mówić, przekonywać, posiedzmy sobie razem, pogadajmy. Siedzimy więc, a jedna z kobiet wstaje i mówi: „Jacy wy jesteście piękni!” – opowiada Jerzy Zdrada.

Gdzie tylko pojawią się kandydaci „Solidarności”, ludzie przyjmują ich serdecznie, bo są bezpośredni, nie ma w nich nic z partyjnych aktywistów. – Ta kampania to był powiew patriotycznej radości i nadziei. Z podziwem patrzyłem na tych rasowych inteligentów typu Kozłowskiego czy Hennelowej, którzy doskonale nawiązywali kontakt z mieszkańcami wsi i miasteczek – wspomina Adam Szostkiewicz (dziś publicysta „Polityki”), który prowadził wiele spotkań z kandydatami.

Niektórzy, zanim jeszcze zostali wybrani, już teraz muszą sprawdzić się w politycznym działaniu. 16 maja studenci demonstrują przed konsulatem radzieckim pod hasłem „Sowieci do domu”. Brutalnie rozpędza ich milicja. Dochodzi do trzydniowych zamieszek. Gdy na ul. Dominikańskiej demonstranci ustawiają barykadę, mediacji między nimi a milicją podejmuje się Krzysztof Kozłowski i Jan Rokita.

Nad plastyczną oprawą solidarnościowej kampanii czuwa zespół Marii Osterwy-Czekaj, plastyczki i dziennikarki. – Przyjęliśmy zasadę, aby nie blokować inicjatyw, wywołać potrzebę samoorganizacji, starać się robić wszystko inaczej, ale wymagaliśmy jednorodności stylu przekazu – wyjaśnia Maria Osterwa-Czekaj. Z centralnej puli dostają 20 tysięcy plakatów, w tym słynne fotografie kandydatów z Lechem Wałęsą. Dla samego tylko Krakowa MKO drukuje następne 42 tysiące. Trzeba tego więcej i więcej, bo rządowi konkurenci zrywają, zaklejają plakaty MKO. Więc solidarnościowe „pospolite ruszenie” kopiuje, drukuje i puszcza w obieg kolejne tysiące ulotek i plakatów.

Żywe reklamy

Po ulicach krążą młodzi ludzie w specjalnie uszytych kamizelkach z płótna z nazwiskami kandydatów „Solidarności”. Jeżdżą tramwaje z reklamami kampanii „Solidarności” – wtedy to była nowość – zrobionymi ekspresowo przez studentów ASP.



Na inny pomysł wpada Jarosław Potasz (dziś dyrektor produkcji TVN). – Wraz z kolegą ze studiów Mirkiem Rzepeckim chcieliśmy robić prywatny biznes i za nieduże pieniądze kupiliśmy mocno wysłużonego żuka. Gdy zaczęła się kampania, pomalowaliśmy go na białą, montując na burtach hasła wyborcze i listy kandydatów, a na dachu megafony pielgrzymkowe, by nawoływać do głosowania na „Solidarność” – opowiada Potasz. Docierają do wiosek, na targ koński w Pro-

szowicach. Są przyjmowani entuzjastycznie. Wyciągają się ręce po znaczki „Solidarności”, plakaty, ulotki i gazetki, których stopy ekipa Potasza zawsze wozi na pacy.

Władze MKO godzą się, aby Jan Rokita mógł prowadzić własną kampanię. – Sytuacja była trudna, bo o ten sam mandat ubiegał się lider KPN Leszek Moczulski. Nasze badania wykazały, że zna go około 80 proc. wyborców w okręgu, a Janka Rokitę około 7 procent – tłumaczy Zbigniew Fijak, który kieruje

kampanią przyjaciela. Sztab mają na Powiślu, w mieszkaniu rodziny Fijaka. Drukują własne plakaty i ulotki, nalepki samoprzylepne, wykorzystują wszystkie dostępne wówczas profesjonalne metody kampanijne.

– Tych wyborów byśmy nie wygrali bez pomocy Kościoła. Nie ma mowy! – Tego jest pewny prof. Zygmunt Kolenda. – Szczególnego wsparcia udzielały nam krakowskie klasztory. Tam dostawaliśmy sale na posiedzenia MKO, pożyczaliśmy sprzęt, maszyny do pisania – do-



W ciągu tego roku już się wiele zmieniło na lepsze. Nie powiem, dzięki komu, myślę... dzięki Bogu. Mam nadzieję, że odrodzi się dobra atmosfera moralna i towarzyska. Uważam, że do tego konieczne jest, żeby zmienić nazwy. Na przykład żeby ulica Manifestu Lipcowego znów nazywała się Wolska albo Piłsudskiego. Bohaterów Stalingradu – Starowiślna. Żeby wszystko wracało do norm nazewniczych, żebyśmy mogli ufać słowom i nazwom. Rewolucje zawsze łączy się ze zmianami nazw.

(Piotr Skrzynecki dla „Głosu Wyborczego Solidarności”, 21 maja 1989)

magaliśmy dziennikarzom. To było dla nas doświadczenie formacyjne, że uczestniczymy w czymś ważnym – wspomina dr hab. Magda Heydel, dziś znana tłumaczka, wówczas studentka I roku, która wraz z przyszłym mężem Jerzym zgłasza się do Polonii, by pomagać w kampanii.

Rzecznikiem prasowym MKO zostaje Adam Szostkiewicz, wtedy „Tygodnik Powszechny”. – To była ciężka harówka. Ale też czas radości i nadziei. Bo to, co wydawało nam się niemożliwe, działało się na naszych oczach: w sposób legalny można udzielać się publicznie i przekonywać ludzi do swoich koncepcji.

Już 24 kwietnia startuje biuletyn „Karta '89” robiony metodą małej poligrafii, bez cenzury, w nakładzie od 10 do 30 tysięcy egzemplarzy drukowanych na czterech stronach formatu A4. Redaktorem naczelnym jest Tadeusz Pikulicki, a sekretarzem redakcji Helena Lazar. Wspomagają ich między innymi Dasza Abrahamowicz, Ewa Baran, Maria Przełomieć, Stanisław Misiak i Daniel Szafra.

Jeszcze przed ukazaniem się „Gazety Wyborczej” wydajemy w Krakowie pierwszy numer „Głosu Wyborczego Solidarności” datowany na 7 maja. „Wiosna nasza!” woła czołwkowy tytuł na pierwszej stronie. Jest też tekst Jerzego Surdykowskiego *Polska wraca do Europy* ilustrowany karykaturą Karola Marksa, który żebrze na rogu ulicy z kapeluszem w wyciągniętej dłoni, autorstwa Andrzeja Mleczki. Zauważa to w korespondencji z Polski „International Herald Tribune”. „Głos” obszernie przedstawia też wypowiedzi i sylwetki kandydatów z całej Małopolski, opinie znanych osób, a nawet własny sondaż wyborczy. W jednym z numerów pokazu-

daje Tadeusz Skiba. Kardynał Franciszek Macharski pisze list do proboszczów, który otwiera wszystkie drzwi. Zbigniew Fijak: – Tylko raz nam się zdarzyło, że ksiądz powiedział: możecie agitować, ale za ogrodzeniem. Kozłowski i Rokita stanęli więc na murku okalającym świątynię i przemawiali do wyborców.

Ludzie „Solidarności” obawiają się, czy wyborcy połapią się w listach, które dostaną przy urnie. W Śródmieściu przygotowali ściągę pokazującą, jak skreślać, żeby zo-

stali tylko kandydaci drużyny Wałęsy i głos był ważny. Tomasz Gąsowski: – Dostaliśmy burę z centrali „S”, że łamiemy ustalenia Okrąglego Stołu, ale wkrótce pomysł naszych ściąg podchwycili inni. Zwłaszcza że strona przeciwna wypuszczała fałszywki, by głosować bez skreśleń.

Wolne słowo

Dla zespołu promocyjno-medialnego, którym kieruje Maciej Szumowski, MKO wy-

najmuje kilka pokoi hotelu Polonia przy ul. Basztowej. W centrum prasowym codziennie pojawia się kilkaset osób.

– Nad wszystkim stara się zapanować Marek Czerski, cudów organizacyjnych dokonuje Janek Ciesielski, a wspierają ich z ofiarnością i entuzjazmem młodzi wolontariusze, między innymi Joasia Filipowicz, Magda Heydel, Ela Piwowarska, Tomek Bergier. – Nosiliśmy ryzy papieru, załatwialiśmy setki drobnych spraw, odbieraliśmy telefony, po-



4 czerwca „Solidarność” zdobyła 160 ze 161 możliwych do zdobycia miejsc w Sejmie. Kandydaci władzy z 299 przysługujących im mandatów uzyskali zaledwie trzy. W Senacie „Solidarność” wzięła aż 92 ze 100 mandatów. Padła też lista krajowa z czołowymi przedstawicielami władzy: na 35 kandydatów mandat zdobyli tylko dwaj. Trzeba było drugiej tury (18 czerwca), w której uzupełniono skład sejmu kontraktowego («Solidarność» wzięła wtedy brakujący 1 mandat w Sejmie i 7 w Senacie). Wyniki krakowskie: Roman Ciesielski 81,24 proc., Krzysztof Kozłowski 71,77 proc., Jerzy Zdrada 86,66 proc., Mieczysław Gil 89,3 proc., Edward Nowak 82,68 proc., Józefa Hennelowa 81,58 proc., Jan Rokita 76,2 proc.

Jemy zdjęcie I sekretarza KK PZPR podczas lektury naszego „Głosu”. Fotografii tę umieścił on w swojej ulotce, bo startował z listy PZPR. „Dożyliśmy czasów, kiedy nawet partia wspiera się w swej kampanii symbolami »Solidaności«” – komentujemy.

– Cała redakcja mieściła się w mojej i Jurka Sadeckiego teczce oraz w szufladach u paru zaprzyjaźnionych drukarzy – wspomina potem Surdykowski, redaktor naczelny. Wspomagam go, nie tylko pisząc, ale także robiąc makiety i pilnując łamania kolumn. Wokół pisma skupia się grupa dziennikarzy, między innymi Stanisław M. Jankowski, Maciej Kozłowski, Mieczysław Kasprzyk, Jerzy Lohman, Zbigniew Ringer, Tadeusz Robak, Bogdan Rogatko, Jan Rogóż, Maciej Szumowski, Dorota Terakowska. Do 14 czerwca – dzięki ofiarności drukarzy z Drukarni Prasowej – ukazują się cztery numery o łącznym nakładzie pół miliona egzemplarzy! Każdy po osiem kolumn.

Darowane siedem minut

Strona koalicyjno-rządowa zaciekle broni monopolu w telewizji, wykorzystując każ-

dą chwilę do swej propagandy. Dla „Solidarności” uchylono tylko małe okienko: 7 minut w programie lokalnym, i niewiele więcej w centralnym studiu wyborczym. Siedem minut dziennie, aby przedstawić pięćdziesięciu kandydatów z dziewięciu województw Polski południowo-wschodniej i niektórych okręgów województw kieleckiego i radomskiego – bo taki obszar obejmuje krakowski ośrodek TV.

Ma tego dokonać nieliczna grupa skupiona wokół Macieja Szumowskiego: Andrzej Jaskowski i Wojciech Szumowski z Niezależnej Telewizji Mistrzejowice, Piotr Augustynek z prywatną kamerą, szefujący ekipie Artur Janicki, montażysta Krzysztof Krzyżanowski i Michał Zych. Na dodatek postanawiają, że program ma być żywy, a kandydaci pokazywani na spotkaniach, wśród ludzi. I tak robią, kosztem zarwanych nocy i krańcowego wyczerpania.

Pierwszy ich program wzruszonym głosem zapowiada 10 maja Jerzy Radziwiłowicz (członek MKO). Niezależną telewizję wspierają także wybitni aktorzy: Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Izabela Olszewska, Anna Polony, Krzysztof Globisz, Tadeusz Huk, Jakub Kosiniak, Jerzy Nowak i Jan Peszek.

Trzysta godzin emituje solidarnościowe studio w krakowskiej rozgłośni Polskiego Radia. Jako jedyne w kraju zaznacza ingerencję cenzury sygnałem „pi...pi...ustawa o kontroli...”. Olę Zieleniewską, Marka Pacułę i Stanisława Tyczyńskiego wspierają koledzy ze studenckich radiowęzłów.

Mury przemówiły

Dzień wyborów pierwsi zaczynają plakaciarze. Siedemset osób z kubełkami kleju i pędzlami rusza nocą w miasto. Gdy rano ludzie idą do wyborów, widzą Kraków dosłownie zaklejony plakatami „Solidarności”. Rządowa propaganda nie ma szans.

Przed lokalnymi wyborczymi stolikami ze ściągawkami jak głosować i nazwiskami kandydatów MKO. W każdej komisji mężowie zaufania ze znaczkami „Solidarności”. Są wyposażeni w latarki – gdyby zgasło światło i zaczęły się dziać cuda przy urnie. Kopie protokołów z komisji natychmiast mają przekazywać do sztabów „Solidarności”.

Pierwsze sygnały z obwodów zamkniętych wskazują ogromną przewagę kandydatów „Solidarności” i kompletną klęskę obozu rządowego. Na skalę, jakiej ani władza, ani opozycja się nie spodziewały.

Gdy nocą poznajemy wyniki z kolejnych komisji, w Polsce skaczymy z radości. Napływają jednak wieści z Pekinu, że na placu Tienanmen czołgi masakrują demonstrujących.

Około czwartej nad ranem Jan Rokita budzi telefonem Krzysztofa Kozłowskiego, wołając w emocjach: – System się wali i jeśli komuniści mają oliwę w głowie, to nas

w nocy wygarną. Szykuj sweter i szczoteczka do zębów – relacjonuje później Kozłowski. Radzi Rokicie, że skoro mają ich zamknąć, to może trzeba się przedtem wyspać. I wraca do łóżka.

Pani, która dzień po wyborach wkracza rano ze szczotką do sali Portretowej KIK, wzdycha: – Za trzynaście lat, jak tu sprzątam, pierwszy raz widzę taki burdel... no, że zastaję tu kogoś po całej nocy... Jest 5 czerwca, przed kamienicą przy Siennej 5 od rana tłum ludzi czeka na wyniki. Do sztabu wyborczego MKO napływają kopie protokołów z głosowania, informatycy je liczą. Z kamienicy wychodzi Katarzyna Kolenda (wówczas wolontariuszka, dziś dziennikarka TVN) i na metalowej bramie przykleja komunikat z godziny 10. Wyniki, jeszcze nieostateczne, ale wspaniałe: nasi kandydaci zdobyli między 73,5 a 90,6 procent. Oklaski, radość. Rozpromieniony Gil przyjmuje gratulacje. Ale też studzi nastroje, strona solidarnościowa nie wie, jak zareagują rządzący.

Inny obrazek z tego dnia: jedna z komisji wyborczych – są w jej składzie przedstawiciele MKO Anna Polony, Maria Osterwa-Czekaj i Kazimierz Barczyk. Wyniki dla władzy druzgocące. Po przerwie komisja kończy podliczanie głosów i wtedy jej przewodniczący dostaje ataku wreczka żółciowego. – Dziś lubię opowiadać, że to na widok Barczyka, który wrócił z domu ubrany w koszulkę z napisem: „Solidarni, dziś jest nasz dzień...” – wspomina Maria Osterwa-Czekaj.

Mnie zaś – w przeciwieństwie do owego szefa komisji – rozpiera szczęście, choć pierwszy raz w życiu czuję ból w okolicach serca. Z Polonii biegnę na EKG do przychodni na Rynku. Diagnoza: – Serce w porządku. Nadmiar wysiłku i emocji.

Przy pisaniu korzystałem z książki *Wybory '89*, 1999, filmu *Zwyciężymy. Wybory 1989* (TVN) oraz własnych publikacji.



Jerzy Sadecki (ur. 1950) – dziennikarz i publicysta, absolwent prawa UJ. Od 1975 do 1989 w „Gazecie Krakowskiej”, zastępował swoimi reportażami w latach 1980–81, a po stanie wojennym był już tylko redaktorem techniczno-depeszowym (nie pisał

do oficjalnych mediów, współpracując z podziemnym obiegiem wydawniczym). W latach 1990–94 był naczelnym „Gazety Krakowskiej”, a potem publicystą „Rzeczpospolitej”. Przed wyborami 4 czerwca 1989 pracował w sztabie medialnym krakowskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarności”, współtworzył ukazujący się wówczas w Krakowie „Głos Wyborczy Solidarności”. Wybrane książki: *Nowa Huta: ziarna gniewu, ziarna nadziei* (podziemne wydawnictwo MOST, 1989), *Trzynastu. Premierzy wolnej Polski* (2009), *Ambasador. Wywiad rzeka z Jerzym Bahrem* (2013).



Marmurem i żelazem

Rozmawiała Maria Malatyńska Zdjęcia: Alicja Rzepa

Krystyna Janda: Pełny teatr to jest prawdziwa miara wszystkiego. Gdyby ludzie nie przychodzili, tobym nie grała. Od 13 lat gram w niepaństwowym teatrze, to, że przychodzą widzowie, jest decydujące dla istnienia teatru. A gram i klasykę, i sztuki współczesne... Nie jest tak, że gram same farsy. W Och-Teatr fars jest oczywiście więcej, bo to taki teatr, w którym możemy sobie robić przyjemności. I przyjemność robimy widzom, bo farsy bywają po prostu miłe. W Polonii repertuar jest inny. Ale widzowie mają zaufanie i przychodzą.

Maria Malatyńska: Ponad 40 lat w zawodzie, 61 filmów. Trzy razy więcej było przedstawień teatralnych, zarówno w teatrze, jak i w telewizji, w których się Pani pojawiała najczęściej w głównych lub przynajmniej znaczących rolach. A jeszcze kilkanaście arcydzieł, które pracują niemal tylko na Panią – monodramy teatralne. I nieskończona aktywność blogerki, bo, jak Pani mówi, najważniejszy kontakt z odbiorcą. A potem z pisania w sieci powstają dzienniki – właśnie ukazał się ich czwarty tom. Jeszcze tomiki z Pani felietonami, było ich sześć czy siedem, do tego kierowanie dwoma teatrami, wreszcie linia kosmetyczna Janda!

Nie, to nie! Linii kosmetycznej dałam tylko swoje nazwisko. Coś tam tylko na początku wymyśliłam, ale to żadna działalność!

No dobrze, ale i tak jest tego ponad miarę! Skąd ta nadaktywność? Czy doba ma dla Pani więcej godzin?

W ogóle nie śpię. Prawda jest taka, że od ponad trzydziestu lat cierpię na bezsenność. I nie jest to z niczym szczególnym związane, mam to w genach, bo moja mama też to niegdyś miała. Muszę więc czymś te godziny wypełnić. Ale to żart. Rzeczywiście, bardzo dużo pracuję w nocy. Głównie czytam i piszę. Wiadać nie potrzebuję dużo snu. Mnie zresztą jest żal zasnąć. Tyle się dzieje! Żal by mi było każdej godziny. Nocą jest oczywiście internet. Ale teraz to głównie czytanie sztuk teatralnych.

Między Białą bluzką autorstwa Osieckiej – pierwszym monodramem, z którym Pani wystąpiła 32 lata temu, a ostatnim, za którym dostała Pani już kilka nagród, czyli Zapiskami z wygnania według książki Saby Barel, minęło Pani dojrzewanie i duża część dorosłości! Tak jak między Człowiekiem z marmuru, z 1976 roku, z młodzień-

ką Agnieszką, idącą pierwszy raz pod prąd wobec władzy, a ostatnim filmem *Słodki koniec dnia*, nagrodzonym w Sundance, w którym polska poetka noblistka Maria Linde oskarża rząd (włoski, bo to nasza współprodukcja z Włochami) o świadomą nieudolność w sprawach imigrantów... Jak Pani odczuwa w sobie ten upływ czasu i zmianę wszystkiego? Jak bardzo czuje się Pani teraz inna? Jestem zupełnie innym człowiekiem. Kobietą. W międzyczasie byłam matką, babcią, byłam żoną, zostałam wdową, dużo rzeczy się wydarzyło w moim życiu prywatnym, więc nie mogłabym pozostać taka sama. To najlepiej widać w monodramach. Jak ktoś widział *Shirley Valentine* sprzed 27 lat i zobaczy ją dzisiaj, to odkryje w niej zupełnie inną osobę. Inny ma rodzaj autoironii, odważniej i szczerzej się z siebie śmieje. Postaci się zmieniają ze mną. Ale pozostała we mnie najważniejsza rzecz! Entuzjazm i codzienna radość z grania, wymyślania nowych rzeczy, obsadzania kolegów w ich wymarzonych rolach, wymyślanie dla nich życiowych ról! Te trzynaście lat moich prywatnych teatrów to jest jednak taka zabawa, czuję się trochę jak producent hollywoodzkiego filmu, bo mam temat, a potem mówię: kto to zagra i jak to zrobić, żeby publiczność wyszła zadowolona. To pasjonujące zajęcie.

Kontynuuje Pani tę swoją wspaniałą opowieść o idealnym zakątku artystycznego świata, a przecież wokół płynie życie pozarteistyczne, niekoniecznie przyjazne. Czy Pani ma tę świadomość, że sztuka cokolwiek może zmienić? W sensie społecznym czy obywatelskim?

Tak, i muszę powiedzieć, że przez te lata ostatnie, jeśli przedstawienia się zmieniały, to także dlatego, że zmieniała się rzeczywistość wokół. Wznowiłam przede wszyst-

kim *Białą bluzkę* i doszły materiały ubeckie, które myśmy kupili, a których w pierwszej wersji nie było. Dopiero wtedy uznaliśmy z Magdą Umer, że to jest spektakl historyczny, w związku z czym na ekranie pojawia się cała opozycja, kościół św. Marcina, zebrania solidarnościowe itd. To są operacyjne materiały ubeckie. A przeżywałam tu różne spektakle. Bywało i tak, że jak pojawiał się Michnik, to publiczność krzyczała: zdrajca, zdrajca, cały rząd ludzi, na znak protestu wstawał i wychodził, ale się tym w ogóle nie przejmowałam. Po czym wznowiłam *Danutę W.*, która kiedyś była przedstawieniem historycznym, a teraz stała się gorącą współczesnością. Przychodzą ludzie i rozwijają flagi biało-czerwone na widowni, ja opowiadam historię Polski przez Danusie Wałęsową, ale cały czas podmiotem tego przedstawienia i historią tego kraju jest Lech Wałęsa. I to nie jest bez znaczenia. Robiliśmy też na przykład spektakl o Przemysku, i ciągle go gramy. Wciąż jest ważny. A ten ostatni monodram, *Zapiski z wygnania*, pojawił się, żeby przypomnieć '68 rok, w jego pięćdziesięciolecie. Zrobiłam też bardzo dużo spektakli teatralnych, które mają uczyć tolerancji, otwartości na wszystko. Nawet tak kontrowersyjny jak *Koza*, czyli kim jest *Sylwia*, z jego prowokacyjnym podtytułem: *O miłości mężczyzny do kozy*. Ta sztuka to specjalny pomysł jej autora Edwarda Albee, żeby przez prowokację uczyć tolerancji.

Bardziej to prowokacyjne niż w filmie Jerzego Stuhra Duże zwierzę!

Dużo bardziej. Ale też zrobiłam *Matki i synowie*, o matce homofobce, która nienawidzi gejów, a jej syn jest gejem i ona nie chce w to uwierzyć. Sporo aktualnych tematów tu się pojawia. Właściwie żadnego ze spektakli, które wystawiliśmy i tu, i w Polonii, a nie mówię o komediach i farsach, które robimy, żeby się utrzymać, a więc żadnego ze spektakli nie zrobiłam przypadkiem. Wszystko to jest ciągła rozmowa z publicznością na ważne tematy. Artysta może bardzo dużo, ciągle w to wierzę. Oczywiście, teatr jest sztuką elitarną. Teatr jest dla elit, a to znaczy, że procent ludzi, z którymi się rozmawia, nie jest wysoki. Gdy się pomyśli, że gramy 900 razy w roku, z czego 800 razy w Warszawie, a 100 razy na wyjeździe, jeżeli mamy w obu teatrach łącznie ponad 700 miejsc, a weźmy z tego chociażby tylko połowę, to jest widownia, jaką przeciętnie mają kina! Więc to nie jest tak mało, ale jednak to jest wciąż elitarna sprawa.

Całego narodu się nie obejmie, ale obecni politycy już pracują, żeby Panią odpowiednio „wylbrzmić”.

Rzeczywiście, ale na razie jest tak, że mija się kompletnie opinia polityków z opinią widzów! Tym się na razie nie martwię. Martwię się – na szczęście nas to jeszcze nie dotyczy – że zdarza się, iż jakieś spektakle są odgórnie zatrzymywane. Była wprawdzie taka pró-

ba, gdy robiliśmy spektakl o przyjaźni geja z dziadkiem z Radia Maryja, ale nie ma jeszcze prawnych narzędzi, żeby nas zatrzymać. Cenzura jednak nadal, pozornie, nie istnieje. Zobaczymy, co będzie dalej.

Zwłaszcza że to nigdy nie jest decyzja artystyczna, lecz administracyjna. Zaczynając od finansów...

Tak, ale przez trzynaście lat istnienia wypracowaliśmy taki system, że w zasadzie utrzymujemy się sami. To znaczy utrzymujemy te dwa teatry, ja bardzo mocno zaciskam te koszty stałe, i administracyjne, i artystyczne, choć one są właściwie bardzo duże, bo my gramy miesięcznie 80 spektakli, a na scenę wchodzi bardzo wiele gwiazd, a to także pieniądze. Ale jeszcze dajemy radę. Jedyne trudności mamy z wyprodukowaniem spektakli. Bo produkcja 10 nowych spektakli rocznie, a tyle ich mamy, kosztuje ok. dwóch milionów. Te dwa miliony musimy jakoś wypracować, zdobyć, oczywiście pomagają nam widzowie, mamy 1%, i „dopinamy się”. Myślę, że gdyby nawet nie było żadnej dotacji, a my mamy od trzech lat taką niewielką dotację miejską, taką resztówkę, to mamy jeszcze pewien zapas na jakiś czas. Na razie udaje się to, że sumy wpływające do kasy nam starczą. Bardzo staram się o to, żeby to się zbilansowało. Ja się przez te trzynaście lat tak nauczyłam oszczędzania, że gdybym dostała, jak mają teatry miejskie, te kilkanaście milionów, to bym pewnie w ogóle nie wiedziała, co z nimi zrobić. Artystom zapłaciłabym więcej. Bo oni tu dużo grają, ale za dużo mniejsze pieniądze, niż gdzie indziej. Ale wiedzą, że tu jest żywy, ciepły i przyjazny teatr!

To los Panią tak ustawił po stronie buntu i niezależności. Los i Andrzej Wajda. Jeśli wszystko zaczęło się niegdyś od *Człowieka z marmuru* i *Człowieka z żelaza*, jeśli było u początków kultowe *Przesłuchanie*, które władza chciała unicestwić, jeśli aktorska *Złota Palma* w Cannes za tę rolę pojawiła się 10 lat po zrealizowaniu filmu i była w 1990 roku pierwszym hołdem Europy dla wyzwolonej z komunizmu Polski, to nie ma Pani wyjścia, bo z biegiem lat „pieczęć Janda” nie słabnie!

Dla mnie ta „pieczęć” właściwie nie jest aż tak ważna. Ważniejsze jest, żebym się podpisała przeciwko czemuś, z czym się nie zgadzam, niż myślenie o tym, że to buduje mój wizerunek. Więc podpisuję, robię, czy mówię o czymś, ale przede wszystkim realizuję spektakle, gram role i to dla mnie jest ważniejsze. Wielokrotnie pytałam kolegów, czy mają do mnie pretensje, że się angażuję w sprawy polityczne, ale powiedzieli, że prawda jest ważniejsza, a bezkompromisowość jest dla nich inspiracją. Zresztą muszę powiedzieć, że np. spektakl *Danuta W.* to spektakl bardzo uczciwy, tam jest godzina czterdzieści dokumentalnych materiałów, teraz z czarnymi „blankami”, ponieważ TV Gdańsk nie przedłużyła nam licencji,



więc w tych miejscach idzie w spektaklu czarany ekran i napis: „TV Gdańsk nie przedłużyła licencji na ten materiał”. Ale ja myślę, że teatry w ogóle nie są groźne dla tej władzy.

No nie wiem... To tylko komuniści uważali, że tak naprawdę artystów można pozornie zostawiać w spokoju, niech myślą, że są ważni, a tylko tu podciąć, tu rękę im uściśnić i potem chwalić się przed towarzyszami, że się np. pana Wajdę zna osobiście.

Komuniści tak. Ale ta władza nie. Wszystko pamięta i niczego nie wybacza. Małostkowość tej władzy jest tak porażająca, że trudno to zrozumieć. Wie pani, ja każdego dnia nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Człowiek wątpi nawet w swoje zmysły! Ale jest tyle przyjemniejszych rzeczy: dostałam nagrodę Mordechaja Anielewicza za *Zapiski z wygnania*, która miała takie uzasadnienie: „za umiejętność współodczuwania”. I pomyślałam, że jest to jedna z najpiękniejszych nagród, jakie aktorka może dostać w życiu. Ale przecież to powstało nie dla nagrody. Zrobiłyśmy z Magdą Umer ten monodram z potrzeby serca. Obie pamiętałyśmy 1968 rok, ona była już na uniwersytecie, ja byłam jeszcze w liceum, ale od tego zaczęła się nasza dorosłość obywatelska. I robiłyśmy ten mały spektakl w małym teatrze z prawdziwej, wewnątrz-

nej potrzeby. I nagle stał się najważniejszym spektaklem, jaki zrobiłam w życiu!

Bo Pani powiększyła ten spektakl nie tylko sobą, ale i sytuacją polityczną, która akurat nastąpiła wokół. Ostatecznie jest to dokument, który napisała ściśle określona, znana z imienia i nazwiska dziewczyna, ona też pisała coś na kształt dokumentacji swojego czasu. I nagle to wszystko się powiększyło o to, co na zewnątrz.

Dokładnie. Bo znaczenie temu nadała ta podłość dookoła, i niesprawiedliwość, i krótkowzroczność... To wszystko wyniosło ten spektakl na poziom, na który on być może nie zasługuje, tego ja nawet nie oceniam, ale za każdym razem, gdy wychodzę na scenę, to po pierwsze mam poczucie sensu, a po drugie mnie zatyka z wrażenia, jak ta publiczność milczy! Jak ta publiczność jest tym dotknięta! Za każdym razem pytam z estrady, czy wy o tym wszystkim wiecie? Zostaniecie z tym antysemityzmem? – jest kamienna cisza, gdy to mówię. Przez tyle spektakli i w tylu salach to grałam i nigdy, nigdy nie widziałam na sali choćby jednego zapalonego światełka komórki. A takie światełko to jest dla nas zawsze znak, że widz jeden czy drugi traci zainteresowanie dla spektaklu i zanurza się we własną komórkę.

Tu nigdy świeteczka nie było. I to jest prawdziwe zwycięstwo.

To ważna rzecz: działanie sztuki w kontekście zmieniającej się zewnętrznosci. Czyli nawet stara sztuka może raz działać mocniej, raz słabiej, bo jej wyznacznikiem jest to, co widownia przejmie z zewnątrz?

Tak, właśnie tak! Moment historyczny – większa sztuka lub ją umniejsza! Mówimy np. o *Kłotwie*. Ja jestem wielbicielek tego spektaklu i bardzo go szanuję, a aktorstwo mnie tam wręcz fascynuje. Gdyby nie było tego wszystkiego wokół tego spektaklu, to byłoby to zwykłe wydarzenie teatralne. Warte wszelkiego odnotowania, ale tylko jako wydarzenie teatralne.

Dlatego zawsze uważałam, że są dwa życia teatru. Jedno, to artystyczne, a drugie, może ważniejsze, to trafienie w czas.

Trafienie w czas. Tak, to jest to, co Cybulski nazywał „włóknieniem czasu”. To jest najważniejsza rzecz. Ale to nie tylko dotyczy tematu. Także samej stylistyki grania. To też dotyczy gustu. A także swoistej erudycji artystycznej. Ktoś mnie ostatnio zapytał, czy istnieje dobry aktor, który nie wie, gdzie żyje? Otóż uważam, że nie istnieje, bo współczesne aktorstwo jest bardzo związane z sytuacją, ze światopoglądem.

Dawniej, za czasów cenzury istniało coś tak fascynującego, jak nasza umiejętność czytania między wierszami. Czy nie widać, że to teraz wraca?

Ależ tak! Czy pani wie, że *Pan Jowialski* też stał się działaniem politycznym? Jest w każdym zdaniu dzisiaj aktualny! „Cała ta grupa kretynów, którzy robią jakiś kraj, z jakąś władzą, ustalając, kto ma być ministrem, albo ustalając: rozum będzie miał ten, kogo my wybierzemy” – mówi się w *Panu Jowialskim*. Publiczność się śmieje i bije brawo! I tak było również w tamtych czasach, gdy wszystko się kojarzyło.

Zawsze się zachwycam możliwością kojarzenia sztuki z rzeczywistością, ale z drugiej strony, czy to nie jest zbyt łatwe? Czy to nie jest też jakąś formą emocjonalnej manipulacji?

To ja pani powiem. Ponieważ zrobiła się taka legenda, że u nas w teatrze można realizować rzeczy trudne i takie, których by inny teatr nie zrobił, a to wszystko wzięło się stąd, że na otwarcie Polonii ja zrobiłam *Ucho, gardło, nóż*, gdzie gęsto padają tzw. mocne słowa, ale to ma swój sens, bo to jest o wojnie bałkańskiej, wszyscy wtedy tak tam mówili. A przekleństwa są kolorytem tego tekstu i żaden dyrektor teatru mi nie powiedział: – Ja bym tego nie zrobił. Wtedy mi powiedziano, dobrze, że zrobiłaś Fundację. I tak się przyjęło, że jak coś jest kontrowersyjne lub niemożliwe, to do mnie... Od trzech lat ludzie piszą i piszą sztuki polityczne i przysyłają do nas. Grafomaństwo po prostu przerażające. Są wśród tego i rzeczy wartościowe, jak

dwa dobre teksty Staszka Brejdyganta, które każdy teatr mógłby zagrać i się tym chlubić, ale cała reszta, to są sprawy chwili i dorażnej interwencji politycznej. Można zrobić taki łatwy i szybki teatr polityczny, taki „za rogiem”, gdzie premiery robiłoby się co tydzień, taki teatr jak gazetę, bo tych tekstów jest tyle! Ale ja wciąż jestem optymistką i uważam, że to, co tak inspiruje, za chwilę się jednak skończy i nie ma po co teatru narażać na publicystykę. Ale szalenie dużo ludzi pisze.

A wszystko się w tym roku okaże. Będzie wóz albo przewóz.

Za kilka dni staniemy przed bardzo ważną dla naszego kraju rocznicą – przed trzydziestą rocznicą wolnych wyborów, które wszystko zmieniły. Niedysyjsze radosne oczekiwania – i późniejsza, entuzjastyczna społeczna energia zderzy się nam z obecnym, marnym przekręcaniem historii i zacieraniem nazwisk bohaterów, którzy nie pasują nowym politykom. Trzeba się cieszyć z takich rocznic. Ale też martwię się i to zupełnie czym innym: ludźmi! I martwię się tym, co będzie potem. Mnie bardziej przeraża, jak to naprawiać, od tego, co oni jeszcze napsują. Bo głęboko wierzę, że to się skończy. Niestety, konsekwencją jest świadomość tego, wśród kogo żyjemy. Kto jest naszym bratem, mężem, matką i ojcem. Podziały przechodzą tak blisko i w sposób tak nieoczekiwany, to jest tak straszne, rujnujące całe społeczeństwo! Nawet jeżeli wszystkie struktury do dna zostaną wymienione, ci ludzie nie znikną nagle, oni nadal będą mieli władzę, bo zostaną wymienione tylko górne warstwy, a warstwy urzędnicze zostaną. Ta destrukcja jest tak posunięta, że to, co potem, będzie straszne.

Już są głosy mądrych ludzi, że nie wolno stosować odwetu, bo wtedy wyniszczymy się i fizycznie, i psychicznie.

Tak, gdy Mazowiecki ogłosił „grubą kreskę”, to ja to natychmiast zrozumiałam i zaakceptowałam. Ale teraz? Gdzie są ludzie, którzy dokonają zmian? Tych, którzy są, nikt nie wyrzuci. Oni są już w każdym miejscu. Jeżeli chcemy przeżyć i nie otruć się razem z nimi, to musimy to w jakimś sensie zaakceptować. Jestem zdziwiona, że nasz kulturowy upadek dokonał się tak szybko, a ludzie nawet ci, którym było dobrze, poszli w ten fanatyzm jak zaczarowani.

Każdy w swoim otoczeniu ma takich znajomych i takie rozczarowanie... To jest absolutnie niezrozumiałe. Banał, bo już wielu to zauważyło, ale to, co jest, naprawdę działa jak sekta, jak religia. Jak coś takiego, co jest nie do przełamania. Żadne racjonalne argumenty nie trafiają. Nie ma co dyskutować.

Może sztuką da się coś więcej uratować?

Sztuką da się zrobić tyle, ile się robi. Ale ta rzeczywistość musi się w tym roku skończyć. Choć równocześnie całe postępowanie tych polityków jest tak nieprzewidywalne. Przecież żadnemu uczciwemu człowiekowi

nie przyjdzie do głowy ich reakcja. Złodziej kradnie i krzyczy „łap złodzieja!”. Kłamca pluje ci w twarz, a ty nie umiesz zareagować, z przyzwoitości, bo nie rozumiesz, że można aż tak!

A co Pani zdaniem jest w takiej sytuacji mądrością obywatela?

Od bardzo dawna jestem osobą publiczną i nie wolno mi zrobić wielu rzeczy, nie wolno mi poprzec wielu rzeczy. Mądrością jest odpowiedzialność, w najniższej nawet sprawie. To, że ja dwadzieścia lat temu powiedziałam: – Proszę mnie nie fotografować z papierosem, ja mogę palić, bo to jest moja prywatna sprawa, ale ja nie mogę młodemu ludziom pokazać się z papierosem. Tak jak krzychałam do młodego reżysera: – W moim teatrze pozytywna postać nie będzie wołała: Kocham ćpać! To ja doniosę – on na to, że pani mnie cenzuruje. – To idź i donieś! W moim teatrze, gdzie przychodzi młódzieź, pozytywny bohater nie będzie tak reagował. Negatywny – proszę bardzo! Ale pozytywny – nie. Bo ja mam dzieci, ja mam wnuki. Dlatego mądrość obywatelska jest odpowiedzialnością, w każdym momencie, za słowo i działanie. W *Zapiskach z wygnania* Sabina, autorka i bohaterka, napisała: „Miała rację pani Margaret Thatcher, gdy mówiła: nie chcemy mieć takiego Państwa, które odpowiada za społeczeństwo, a nikt nie odpowiada za Państwo”. My też chcemy odpowiadać za to Państwo, a oni nam nie pozwalają. Na to jest wielka reakcja na widowni. Ja to czuję w ich westchnieniach. Trafia do nich.

Świetne zdania mają to do siebie, że trafiają bezbłędnie. Jak to zdanie Alexisa de Tocqueville’a: „Demokracja kończy się wtedy, gdy rząd zrozumie, że może przekupić społeczeństwo jego własnymi pieniędzmi”.

Moją radością jest to, że widać, iż przez te ostatnie trzy lata społeczeństwo się obudziło. A czegoś takiego nie było. Cokolwiek o tym mówić, nie było takiej potrzeby szybkiej reakcji na wszystko, z czym się społeczeństwo nie zgadza. Ja jestem bardzo facebookowa, bardzo mocno jestem osadzona w sieci i reaguję, więc może widzę to wyraźniej, ale nie było czegoś takiego już dawno. Tej czujności, tej gotowości na reakcję. Cały czas widzę, co ludzie piszą, co ludzie rysują, jakie informacje udostępniają. To jest wielka praca codzienna. Takich ludzi jest dużo! My nawzajem udostępniamy sobie rzeczy, żeby to szło dalej, żeby to rozumieć, to jest przecież również ustawiczne budzenie świadomości. Jeżdżę po całej Polsce i ciągle spotykam ludzi, którzy mi mówią, że dzięki mojemu facebookowi, oni wiedzą, na co zwracać uwagę. „Pani jest naszą prasówką” – mówią. To dobrze, że Pani nie sypia. Bo w tym wypadku zaśnieć byłoby wyrazem nieobywatelskiej postawy. Trudno spać, gdy wszystko się tak zmienia! Jak chodziłam w tych pierwszych marszach KOD-u i wszyscy się zbierali, to byłam pełna

optymizmu. A potem to się zmieniło. Wszyscy poszli na emigrację wewnętrzną, z młodym człowiekiem można było porozmawiać w domu, ale publicznie oni się nie pojawiali. Nie zajmowali stanowiska i nie zajmują nadal. Tylko politycy walczą, choć tyle mają na sumieniu. Jeśli chodzi o środowiska – jest różnie. Mówi się, np. o sędziach, że stawiają opór i nie dają się zastraszyć. To prawda. Ale jednak inni sędziowie nie bronią kolegów. Odzywają się pojedynczy ludzie, ale środowiska nie bronią środowisk. Środowiska lekarskie nie bronią swoich kolegów, którzy są jawnie szkalowani, oskarżani, poniżani. Nie bronią! Środowisko nie broni też tych młodych lekarzy, którzy strajkowali. Myślę, że w tym jest dużo nieświadomości, ale i słabości. Z drugiej strony jest w tej chwili spora reszka młodych ludzi, którzy nie czują zagrożenia. Widzę to po swoich synach, mają 28 i 26 lat, i nadal nie mogą zrozumieć, że im coś grozi. Jeden zajmuje się swoją fizyką, drugi zajmuje się gramami komputerowymi. Nie ma jeszcze zbyt dużego poczucia zagrożenia. Być może będzie tak, że politycy będą między sobą toczyć wojny, a dla świata młodych ludzi to nie będzie miało znaczenia. Bo ten świat już tak się otworzył, takie im dał poczucie wewnętrznej swobody, że oni już na to zniewolenie nie dadzą się nabrać.

My zachłysłiliśmy się tym trzydziestolecie, bo ono nas wyzwoliło z wcześniejszego zamknięcia, każdy, kto miał jakiś pomysł mógł działać, to była radość, to był dar losu. Ci młodzi w ogóle się niczego nie boją i nie widzą problemu. Jak politycy wpisali nam na paszportach hasło „Bóg, honor i ojczyzna”, to wpadliśmy w histerię, a młodzi w ogóle tego nie zauważyli. Może to właśnie oni są wolni?

Oni chyba tę wolność mają w sobie i żadna mała czy większa wojenka polityczna im tego poczucia wolności nie odbierze.

To byłaby bardzo optymistyczna konkluzja. Tak, ale wciąż mówimy o tych wykształconych grupach młodzieży. A co z innymi? Trzeba o nich zawalczyć!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Fotografia – nic nie jest oczywiste

Tekst: Jan Barański Rysunek: Małgorzata Miklaszewska

Antropologowie od postmodernistycznego przewrotu lat 80. przodują w autorefleksji nad swoimi metodami, paradygmatami i wszystkimi kwestiami, które powodują powstawanie wiedzy antropologicznej. Ta pasja nie ominęła również fotografii.

Myśl antropologiczna ma taką fascynującą przypadłość, że z przemyśleń z poziomu metanauki – rozważań o strukturze i naturze naukowego poznania – potrafi płynnie przejść do prób zrozumienia świata. To jeden z najciekawszych wynalazków: sprzężenie zwrotne, umożliwiające połączenie zdobywania wiedzy o otaczającym nas świecie z przemyśleniami o sposobach pozyskiwania tej wiedzy.

Myśliciele orbitujący wokół antropologii jako przedmiot swoich hybrydowych filozoficzno-empirycznych dociekań potraktowali, obok plejady innych działalności ludzkich, także fotografię. Wcześniej służyła im raczej tylko jako sposób zatrzymania rzeczywistości w kadrze. W końcu, w czasach wspomnianego dekonstrukcjonizmu, skomplikowali sprawę – by teraz umieć przedstawić ciekawe wnioski.

CIEŃ

Wraz z rozwojem swoich możliwości fotografia umożliwiła gromadzenie danych wizualnych na nie-spotykaną dotąd skalę. Zdjęcia są łatwe w przenoszeniu, gromadzeniu czy pokazywaniu; względnie łatwo się je wykonuje; na pozór znaczą zawsze to samo, bez konieczności ich tłumaczenia na inne języki.

Właśnie – znaczą to samo tylko „na pozór”. Antropologowie udowodnili wielokrotnie że to, co zdjęcie rzeczywiście znaczy dla konkretnej osoby, uzależnione jest od wielu różnych czynników natury kulturowej, psychologicznej, historycznej i wielu innych. Można wręcz powiedzieć, że odbiór zdjęcia to akt twórczy – skoro zdjęcie może znaczyć co innego nawet dla tej samej osoby. Zresztą, jak przekonywał Roman Ingarden, wskazując na twórczą rolę odbiorcy – ukonstytuowuje się za jego sprawą.

Najdobitniejszym tego przykładem są badania Marcela Maussa, francuskiego antropologa. Niemal wiek temu interesował się on znamiennej kwestią – dlaczego w ogromnej większości kultur światowych strona prawa jest bardziej godna szacunku od lewej? Jego poszukiwania doprowadziły go do zdumiewającego odkrycia: dla pewnego mieszkańca antypodów dwie identyczne fotografie, trzymane przez etnologa w dłoniach, różniły się od siebie. W końcu udało się zrozumieć w czym rzecz – choć zdjęcia są identyczne, nie mogą być tożsame, skoro jedno z nich trzyma nobliwa, prawa dłoń, a drugie: nieczysta, gorsza lewa.

„Zdjęcie” – czyli coś, co zostało „zjęte”. Dawniej o fotografii w języku polskim mówiło się, że jest „zdejmowana”. Oznacza to, że potrafi ona połączyć

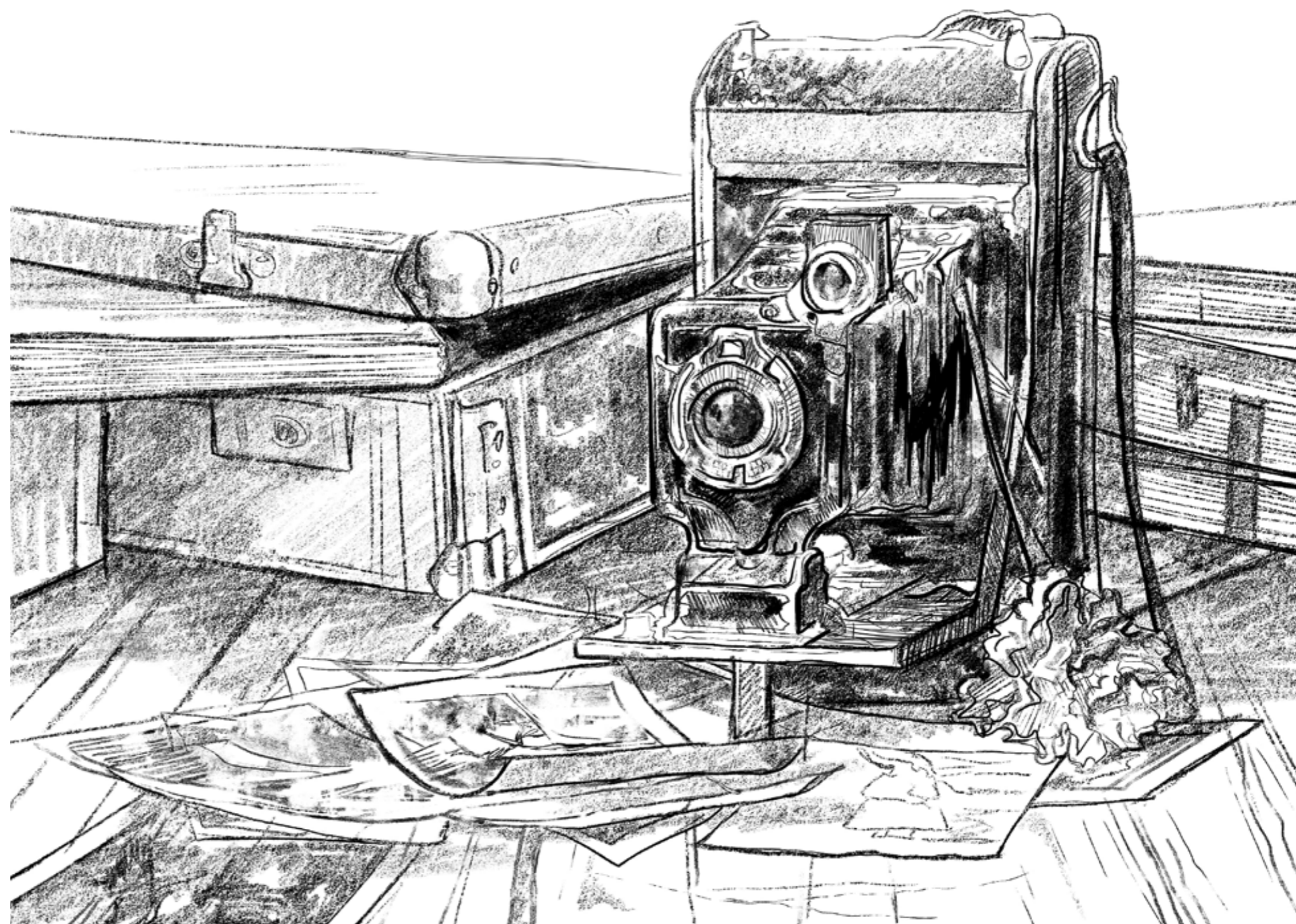
to, co było wtedy, z tym, co jest teraz. Jest medium potrafiącym w tym sensie zakrzywiać czasoprzestrzeń, w momencie odbioru bowiem ma zdolność przeniesienia odbiorcy w czasie i przestrzeni do owego „wtedy”. Ale trzeba pamiętać – że medium to utrwała jedynie zdarzenia, ale nie ich sensy, które ulegają zniekształceniu pod wpływem upływającego czasu.

W języku jednak zachowany zostaje pozór błędnego przedstawienia; proszę zwrócić uwagę, że gdy opisujemy zdjęcie, mówimy: „to jest...” – utożsamiając obraz z jego desygnatem. Gdy etnolog Roch

Sulima analizował niegdyś listy Polaków z lat 20. i 30. pisane z emigracji lub frontu do domu, odkrył, że załączenie zdjęcia często było opisywane zdaniem: „Przesyłam ci swój cień”. Na taką relację antropologowie opracowali specjalny termin – mit. Mit jest wtedy, gdy nie umiemy oddzielić opowieści o czymś, od tego, o czym opowiadamy. Jakże często dzieje się to w stosunku do fotografii!

KREACJA

Fotografia może wywierać wpływ również na ogólnie rozumianą rzeczywistość. Można mnożyć niezli-



czne przykłady fotografii w służbie władzy. Przede wszystkim tak wykorzystywana sztuka fotograficzna ma dwa nadrzędne zadania. Po pierwsze, pomaga hegemonowi stworzyć szczególne, leżące w jego interesie, narracje. Po drugie, umożliwia wykreowanie nowych kategorii lub zmianę istniejących – które dzięki temu stają się obowiązującymi kliszami, wpływając na dystrybucję treści w ramach debaty publicznej.

A umiejętnie kadrowanie zdjęć, ich obróbka, manipulacja kolorami – te i wszystkie inne zabiegi służą wykorzystywaniu fotografii do rozmaitych celów: utrzymania lub zdobycia władzy, perswazji reklamowej lub ideologicznej, ale też rozgrywek dotyczących relacji międzyludzkich i innych jaszczek spraw.

Zdjęcia mogą mieć także pozytywny wpływ na otaczający nas świat. Historycznym przykładem są fotografie wykonywane w drugiej połowie XIX wieku przez Josepha Byrona dotyczące biedy w amerykańskich miastach. Uświadomiły elitom, że istnieje ubogi Inny i zapoczątkowały debatę o tym,

Można mnożyć niezliczone przykłady fotografii w służbie władzy. Pomaga ona hegemonowi stworzyć szczególne, leżące w jego interesie narracje. Po drugie, umożliwia wykreowanie nowych kategorii lub zmianę istniejących – które dzięki temu stają się obowiązującymi kliszami, wpływając na dystrybucję treści w ramach debaty publicznej.

jak można pomóc biednym imigrantom z różnych części świata. Historia zna całe mnóstwo podobnych przykładów emancypacyjnej roli fotografii.

Manipulacyjna i kreacyjna moc fotografii, choć nie intencjonalnie, niejako przypadkowo – uwidoczniła się również w trakcie badań etnograficznych, jeszcze zanim antropologowie podjęli metodologiczną refleksję nad skutkami nieodpowiedzialnego wykonywania zdjęć. Pozowane, zaaranżowane zdjęcia tak zwanych „dzikich” z początku XX wieku utrwały stereotypy na temat egzotyki ludów z różnych części świata. Mówiły: „zobaczcie, oto Murzyn” lub, na gruncie polskim: „oto chłop, mieszkaniac wsi, w swoim ludowym stroju”. Dziś wiemy, że stroje ludowe na wsi polskiej należały do rzadkości i były używane od święta, zazwyczaj w bardzo okrojonej formie – jednak przez dekadę stereotyp barwnie ubranego ludu utwierdzony przez etnograficzną fotografię pokutował w polskiej etnologii. Z kolei po drugiej stronie oceanu, w dwudziestoleciu międzywojennym, amerykański etnograf Edward Curtis, tworząc ogromne dzieło dotyczące rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej, niechcący stworzył i ustalił obraz stereotypowego mitycznego Indianina. Wykonywane przez niego stylizowane fotografie ukazywały dumnych indiańskich wojowników i pięknie ubrane kobiety, zakrzywiając rzeczywistość. Dopiero wspomnia-

ny przełom w myśli antropologicznej (i filozoficznej w ogóle) obnażył te mitotwórcze przekłamania.

MAGIA

Etnologowie często wskazywali także na magiczną moc fotografii. Brytyjski krytyk sztuki o antropologicznej proweniencji John Berger w swoich rozważaniach wielokrotnie podkreślał ten aspekt sztuki fotograficznej: magiczny, czyli sprawczy. Chodzi o to, że wymykając się racjonalistycznym ramom, zdjęcia wykazują – na różnych płaszczyznach – zdolność przemieniania i zakrzywiania rzeczywistości. Lucien Lévy-Bruhl, francuski antropolog i filozof, w trakcie swoich badań na Nowej Gwinei zauważył, że lokalni mieszkańcy oskarżali wizerunek brytyjskiej królowej Wiktorii o spowodowanie epidemii. To przykład na wskazywane częstokroć przez etnologów magiczne utożsamienie wizerunku danej osoby z jej obecnością. To odkrycie pomaga zrozumieć i wyjaśnić znane z różnych części świata (szczególnie popularne w świecie arabskim) palenie wizerunków przywódców politycznych. Ale przecież magiczność fotografii widoczna jest nie tylko w tych spektakularnych przykładach – możemy obserwować ją w naszym codziennym życiu. Poza wspomnianymi przykładami warto przypomnieć tu chociażby polskie badania Joanny Bartuszek o domowych fotografiach. Wynika z nich, że domowe fotografie „żyją”, mają swoje historie – a w końcu służą do przywołania i uobecnienia osób, które już odeszły.

*

Antropologowie uwielbiają komplikować z pozoru jasne i zrozumiałe sprawy. Nie inaczej jest w przypadku fotografii. Wskazują, jak złożone to zagadnienie, na ile sposobów można je odczytywać, jak zmienia świat i jest przezeń zmieniane; przy okazji – znów – próbując przekonać, jak nieodgadniony i trudny do ostatecznego zdiagnozowania jest świat ludzi.

Jak zazwyczaj – wywołuje to przedziwne sprzężenie zwrotne: stawianie pytań daje pewne odpowiedzi; następnie należy zapytać o pytania, a wnioski na powrót obudzą kolejne wątpliwości i tak bezustannie.

Dzieje się tak, ponieważ świat człowieka jest niepomernie skomplikowany, a próbując szukać na jego temat wyjaśnień, stosujemy człowiecze miary, z jednej strony zapędzając się w kozi róg, ale przy okazji odkrywając kolejne i kolejne meandry oraz tajemnice natury ludzkiego bycia w świecie.



Jan Barański – antropolog kulturowy i barman. Redaguje czasopismo antropologiczne „Barbarzyńca” i gra w piłkę.

Na szlaku piękna

Rozmawiał Witold Beres Zdjęcia: Anna Hardt (kościół w Szalowej), Jacek Balcewicz (Stanisław Dziedzic)

Stanisław Dziedzic: Ważnym elementem sukcesu naszej kultury materialnej jest to, że wyramy z połączenia kultury ludowej i dworskiej. W tym chyba tkwi sedno naszej tożsamości.

Witold Beres: Stanisławie, z twoim życiem osobistym łączy się jeden z urokliwych drewnianych kościółków położonych na terenie Małopolski... Wiesz, o czym myślę?

Stanisław Dziedzic: Pewnie o moim ślubie (uśmiech). To było 21 lipca 1979 roku. Byłem już po studiach, miałem 25 lat, a moja miłość pochodzi z Szalowej, położonej nieopodal Gorlic i starego Biecza. Był tam kościółek miejscowy, drewniany, z dwoma bliźniaczymi wieżami, trochę przyciężkami, z cebulastymi hełmami, obok drewniana kaplica, a całość ogrodzona efektownym niewysokim murem. A ja przyzwyczajony byłem do kościoła innego – moim kościołem parafialnym był halowy neogotycki kościół w Trzycianie pod Rzeszowem, przestronny, rozświetlony potężnymi rozmiarów oknami, z dwoma pięknymi późnorenansowymi ołtarzami bocznymi, których mogłyby pozazdrościć najprzedniejsze krakowskie świątynie.

Ale gdy wszedłem ze swoją narzeczoną do kościoła w Szalowej, gdy ksiądz rozświetlił wnętrze świątyni, zamilkłem olśniony jej wnętrzem. Nasz ślub mógł się odbyć w tym właśnie kościele...

Ten kościół jest jednym z najpiękniejszych obiektów architektury drewnianej w Polsce południowej! A nie jest to takie oczywiste, gdy się na ten zabytek patrzy – struktura ścian sugeruje raczej budynek murowany...

Kościół pod wezwaniem świętego Michała Archanioła w Szalowej jest świątynią niezwykłą. Wchodzi do niego i właściwie nie wiesz, na co patrzeć. Najpierw: masz do czynienia z bazyliką. Z drewna. Bardzo wysoka nawa główna. Wysoko nieduże okna, co powoduje, że wnętrze kościoła jest raczej ciemne. I rozświetlony światłem słonecznym sufit, urozmaicony rokokową ornamentyką. Piękne, malownicze arkady wsparte na drewnianych kolumnach oddzielają nawę główną od naw bocznych. Wszędzie jest drewno, które w detalach czasem udaje marmur. A ołtarz główny ma nad sobą łuk tęczyowy z iluzjonistycznym malowidłem przedstawiającym Jeruzolimę, z Golgotą na pierwszym planie. Wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego jest rzeźbiony i polichromowany, podobnie figury Matki Bożej i św. Jana. A nacierający na koniu Longinus jest namalowany na ścianie łuku tęczyowego, na tle Jeruzolimy. W tle nastrój grozy spowodowany nadzwyczajnymi zjawiskami przyrodniczymi. Czysty, święty teatr.

Szkoda, że w 2003 roku ten kościółek ostatecznie nie znalazł się na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

Spośród wytypowanych wówczas dziewięciu kościołów, wśród których był kościół w Szalowej, na listę

wpisano ostatecznie sześć. Komisja przyjęła zasadę, że nie decyduje urok i ranga artystyczna obiektu, ale wiek: na liście umieszczono kościoły najstarsze, czyli XV- i XVI-wieczne, gotyckie i gotycko-renesansowe, a tu mamy do czynienia z późnym barokiem.

Gdy się mówi o liście UNESCO (skoncentrujmy się na zabytkach kultury, pomińmy dla prostoty wywodu zabytki natury), najpierw przychodzą do głowy egipskie piramidy i Wielki Mur Chiński, a w Polsce Stare Miasto w Krakowie czy Zamość, Kopalnia Soli w Wieliczce, warszawska Starówka. Oczywiście jest i obóz Auschwitz... Ale jakże często umyka nam ten małopolski Szlak Architektury Drewnianej, który od ponad 15 lat jest na liście. To, jak wiem, twoja pasja...

Budownictwo drewniane jest od wieków charakterystycznym elementem krajobrazu kulturowego Polski. Drewno zarówno w przypadku domów mieszkalnych, gospodarczych, jak obiektów sakralnych świetnie spełniało swoje funkcje, ale jego głównym mankamentem była podatność na zniszczenie, zwłaszcza w czasie pożarów. Pożary i wojny trawiły całe zespoły miejskie, wsie, dwory, a także kościoły. Ale budownictwo drewniane, aż po wiek XIX było bardzo popularne.

Na ziemiach polskich, zarówno w architekturze, ubiorach, jak i obyczajowości, występował swoisty synkretyzm kultury dworskiej i chłopskiej. To przecież Stalin twierdził: „Polska wyrasta z kultury szlacheckiej i dlatego trzeba to zmienić”. Nie pora na rozwijanie tych kwestii, wystarczy raz jeszcze podkreślić, że kultura szlachecka miała charakter rustykalny, zazwyczaj z niechętnym odnośnieniem się do miast. Wiele elementów etykiety, form zachowania, ba! – tańców, z polonezem włącznie, ma taki właśnie synkretyczny, rustykalny charakter. Kościoły wiejskie, także drewniane, fundowane były zazwyczaj przez miejscowych feudałów. Ich architektura oddziaływała też na wznoszone w wielu miejscowościach kościoły, dla których zabrakło kolatorów dworskich. W naszych małopolskich kościołach zachowało się wiele wysokiej rangi artystycznej obiektów kultury – głównie ołtarzy, rzeźb czy obrazów wywożonych na tak zwaną prowincję, jako staroświeckich, nieliczących z nowym wystrojem choćby krakowskich kościołów. Wspomniane przeze mnie ołtarze z Trzyciany, zaskakująco wciąż słabo znane, nie należą do rzadkości. Ale też czasem i do małych wiejskich czy małomiasteczkowych kościołów bądź kaplic tworzyli, na życzenie możnych kolatorów artyści wybitni...

Dla mnie takim ważnym kościółkiem jest drewniany, góralski w Łopusznej, który ponoć miał powstać

jeszcze w połowie wieku XIII! Urokliwy – to mało powiedziane. W takim miejscu nawet taki ateusz jak ja zaczyna się zastanawiać nad kwestiami metafizycznymi. No i ksiądz Tischner zaciągnął tu kiedyś dzikich i młodych z „Tygodnika Powszechnego”, i tak już mi zostało... Które z tych miejsc ty szczególnie lubisz?

W kościołach podkrakowskich i na terenie Małopolski – jak już wspominałem – drzemią rzeczy absolutnie niezwykłej rangi. Wśród tych kościołów drewnianych jest choćby kościół w Paczółtowicach – gotycko-renesansowy, drewniany. Przepiękny. W tym kościele w głównym ołtarzu znajduje się słynna Matka Boża Apokaliptyczna, w drzewie ognistym, trzymająca na prawej ręce Dzieciątko. Jest to środkowa część niewielkiego XV-wiecznego tryptyku. Dziś oba skrzydła tryptyku umieszczone są odrębnie po obu stronach późnorenansowego ołtarza, w którym umieszczona jest Madonna Apokaliptyczna.

W kościele w Więclawicach, też na północ od Krakowa, znajdują się też dzieła niezwykle: figura Matki Boskiej Więclawickiej z typu „pięknych Madonn” z końca XIV wieku i nieco późniejszy tryptyk świętego Mikołaja wykonany w warsztacie Jana Wielkiego. I to niezwyklej rangi dzieło przeznaczone było do jednego z krakowskich kościołów. Jak trafiło do Więclawic? Nie wiadomo...

W pobliskim kościele w Iwanowicach, także drewnianym, znajduje się krucyfiks dłuta Wita Stwosza. W drewnianym, podkrakowskim kościółku! To są rzeczy zdumiewające. Przez całe wieki nikt nie wiedział, kto jest autorem, kto wyrzeźbił ten krucyfiks... Z kolei w Lipnicy Murowanej, w kościele Świętego Leonarda (ten kościół jest jednym z szóstki wpisanej na listę UNESCO w 2003 roku) w miejscu gotyckich tryptyków ustawiono w ostatnich dziesięcioleciach słabej – niestety – jakości kopie, bo oryginały zostały przewiezione do Muzeum Diecezjalnego w Tarnowie. A to dlatego, że kościół ten został wcześniej okradziony, a ołtarze zostały wywiezione. Cudem jednak, przez nieuwagę złodziei, rozszyfrowano miejsce, gdzie były przechowywane i ukryte do wywózki. Spośród kościołów, które trzeba też wskazać, jest kościół w Binarowej, mały kościółek koło Biecza, drewniany z cudną polichromią wnętrza, renesansową, na drewnianej fakturze. On znalazł się na liście UNESCO w 2003 roku.

Jeśli dodać do tego szlak cerkwi regionu karpacciego w Polsce i na Ukrainie, to okazałoby się, że ta część Europy szczególnie bogata jest w świątynie drewniane. Czym tłumaczysz ten fenomen, że w tej części Europy powstawały tak wspaniałe zabytki kultury drewnianej?

Cerkwie drewniane, zarówno greckokatolickie, jak i prawosławne zachwycają malowniczymi bryłami, bogactwem wystroju, ale też malowniczością położenia. Przykłady można mnożyć. Szkoda, że tak wiele z nich zostało zniszczonych. Powód wznoszenia cerkwi drewnianych był podobny jak w przypadku kościołów łańskich. Tanie, dostępne drewno łatwo poddawało się obróbce, dawało piękne efekty dekoracyjne. I pewnie były te drewniane świątynie bliższe mentalności ludu i szlachty – żyjących na ogół w drewnianych dworach i chałupach.



Wiele kościołów drewnianych powstało także w miastach, nawet i w stołecznym Krakowie, ale one były później na ogół zastępowane kościołami murowanymi. Drewno okazało się mniej trwałe, czasem traktowano je tu jako niższej kondycji artystycznej. Ale stare kościoły krakowskie, choćby Bernardynów na Stradomiu były często drewniane. Bo jako obiekt sakralny miał być z założenia bardziej dostojny i trwały.

Rozmawiamy w dniach krakowskiego 15. Kongresu Organizacji Światowych Miast Dziedzictwa (OWHC – Organization of World Heritage Cities), najwięk-

szej międzynarodowej organizacji, która zrzesza miasta historyczne wpisane na listę światowego dziedzictwa kulturalnego i naturalnego UNESCO na całym świecie. Formalnie miasta to jedno, a zabytki to coś innego. Łączy je jednak „dziedzictwo”. Jak ty byś opisał to pojęcie?

Dziedzictwo traktuję zarówno w kategoriach kultury materialnej, jak i duchowej. Byłem na kilku takich kongresach, czy to w Kazaniu w głębokiej Rosji, ale także w stolicy Ekwadoru Quito. Warto tu podkreślić, że jedynie stara część zabudowy Quito oraz Kraków zostały wpisane jako zespoły miej-

skie na pierwszą listę dziedzictwa UNESCO w 1978 roku. Różne temu przyświecały intencje organizatorów. Na przykład w Quito obok obiektów i pięknie położonej zabudowy miasta pokazywano także niezwykle malownicze i atrakcyjne procesje uliczne, które są cechą właściwą dla tamtejszej kultury. Te żywe wciąż w tamtejszej kulturze obrzędy ludowej religijności były zjawiskiem dopełniającym, wzbogacającym dziedzictwo przeszłości, swoistym dialogiem kultur i epok. Odzwierciedlały wielokulturowe pokłady dziedzictwa: barwnego i niepowtarzalnego. W przypadku Krakowa – czym byłyby nasza kultura

bez dziedzictwa materialnego? Właściwie Kraków nie różniłby się niczym specjalnym od innych miast. Największą wagę w Krakowie odgrywa ten wspólny splot kultury materialnej i duchowej – Kraków był stolicą Polski formalnie do upadku Rzeczypospolitej, ale faktycznie po XVII wieku, po potopie i po wojnie północnej ze Szwedami już ze zniszczenia się nie podniósł. W Krakowie kultury materialnej nie tworzyli przygodni artyści. Wystarczy sięgnąć do nazwisk, żeby się przekonać, że tutaj od głębokiego średniowiecza byli zapraszani do pracy artyści najwybitniejsi. Nasz gotyk krakowski jest przecież unikatowy, inny niż na przykład gotyk francuski czy niemiecki. Ma własne rozwiązania konstrukcyjne. Polacy współtworzyli europejskie dziedzictwo. Nie tylko je importowali.

A renesans? Twierdę nawet, że tak pięknych zamkowych elewacji i dziedzińca, jak na Wawelu, mogą nam pozazdrościć sami Włosi. Tamten rene-

sans jest dużo cięższy, a dachy są płaskie, mało efektowne. U nas ze względu na klimat – to jest kolejny przykład kreatywności – budowano je prawie jak gotyckie. A tak lekkich, kształtnych arkad, takiego założenia przestrzennego i rozmachu trudno znaleźć gdzie indziej.

Dzięki temu dziś każda osoba wrażliwa, bez względu na swoje religijne stanowisko czy kulturowe preferencje, doceni zapewne estetyczną rangę krakowskich kościołów, zabudowy Starego Miasta ukształtowanej wkrótce po lokacji na prawie magdeburskim w XIII wieku.

W ten sposób kulturowe dziedzictwo materialne łączy się wolnością, z tworzeniem, z otwarciem się na inne kultury.

Oczywiście. Mówimy o Krakowie, ale przecież wiemy, że Rzeczpospolita ciągnęła się daleko na wschód i że tam były wpływy kultury bizantyjskiej, moskiewskiej, ormiańskiej i wielu innych. Umieliśmy



Stanisław Dziedzic (ur. w 1953, w Dąbrowie) – doktor nauk humanistycznych, historyk literatury, publicysta, nauczyciel akademicki, absolwent filologii polskiej i dziennikarstwa UJ oraz zarządzania na Akademii Ekonomicznej. Przez wiele lat był szefem wydziału kultury w Urzędzie Miasta Krakowa.

Autor kilkudziesięciu książek, głównie powiązanych z krakowską i małopolską kulturą, w tym m.in. książek o Teatrze 38 (wspólnie z Tadeuszem Skoczkiem – ostatnie wydanie 2018) i Klubie Pod Jaszczurami (1980), *Miasto lutni podobne. Bramy i baszty Krakowa*, Kraków 1996 (współautor: Maria Rydlowa);

Ojczyzna myśli mojej. Studia i szkice literackie (1999), *Ojciec Serafin Kaszuba* (2009 – współautor: Małgorzata Dziedzic); „Złote więzienie” Stanisława Augusta (Sankt Petersburg 2009), *Portrety Niepospolitych* (2013), *Archipelag pięknych ludzi* (2017).

Wielokrotnie odznaczony (m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*” oraz Złotym Medalem „Zasłużony dla Archidiecezji Krakowskiej”).

Dziś jest szefem Biblioteki Kraków i wydawcą naszego miesięcznika.



pięknie szanować czyjeś doświadczenia i wspólnie je przetwarzać. Takim tygłem jest Kraków, gdzie żyli obok siebie Włosi, Niemcy, Ormianie, Żydzi...

Mówisz, że integralną częścią dziedzictwa jest pojęcie piękna. Tak, to są piękne obiekty. Czy nie powinniśmy się jednak zacząć bać tego, że to stworzyli nasi pradziadkowie? Kościołki Małopolski powstały setki lat temu! Nie martwisz się, że tak niewiele piękna nasze czasy zostawią potomnym?

To trudne pytanie, ale trzeba odpowiedzieć uczciwie: niewiele. Zawsze podkreślam, że architektura należy do sztuk pięknych. Kiedy na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (a nie przy szkole technicznej) niegdysiejszy wieloletni narzeczony Olgi Boznańskiej, Józef Czajkowski tworzył wydział architektury, pamiętał o tym, żeby architektura była swoiście pojętą kontaminacją funkcjonalności użytkowej i piękna. Owszem, inżynier ma zapewnić statykę i trwałość. Ale nad tym wszystkim dominuje pierwiastek piękna, ład, który stworzy tylko artysta! Kraków ma więc swoje *genius loci*, bo to jest miejsce wymarzone przez wybitnych mistrzów rzeźby, malarstwa, słowa. Ten klimat naszego miasta jest absolutnie niezwykły. Dlatego tak kochamy i pielęgnujemy

fenomen kreatywności Młodej Polski. Artyści, urbaniści spirali się, tworzyli przeciwstawne nieraz koncepcje estetyczne – ale wyrastały z tych zmagani i sporów obiekty, które zaskakują dotąd. Któż nie chciałby mieszkać w modernistycznej kamienicy, z funkcjonalnie zaprojektowanymi mieszkaniami, przestronnymi i przytulnymi, z elewacjami ozdobionymi secesyjną ornamentyką, z elegancką stolarką we wnętrzach? Dbałość o dziedzictwo jest potrzebą nie tylko naszych czasów, podobnie jak i umiejętność łączenia nowych technologii w architekturze i aranżacji zabudowy przestrzennej z pierwiastkami piękna.

By piękno zachwycało...



Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.



Kraków, 19. FKŻ, *Szalom na Szerokiej*, koncert finałowy, na zdjęciu Basya Schechter i Jeff Warschauer, 2009

Erec, czyli ziemia

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Pierwsza edycja FKŻ odbyła się w maju 1989 roku. Przez te 30 lat przeszliśmy symboliczną drogę od sztetla do Syjonu – mówi Janusz Makuch, twórca i dyrektor największego na świecie festiwalu żydowskiego.

Od 21 do 30 czerwca trwa w Krakowie 29. Festiwal Kultury Żydowskiej.

Kazimierz w czerwcu staje się małą Jerozolimą, małym Tel Awiwem i przedwojennym sztetlem z powieści I.B. Singera. Tu, w bezpiecznej przestrzeni dialogu, ludzie spotykają się, by rozmawiać o skomplikowanej przeszłości i teraźniejszości, uczyć kaligrafii, kuchni, tańców żydowskich i patrzeć sobie w oczy nie jak obcy, lecz jak sąsiedzi, bracia, współobywatele. FKŻ skutecznie udowadnia, że kultura Żydów europejskich nie zatrzymała się w roku 1939, lecz czerpie dziś zarówno z doświadczeń diaspory, jak i ojczyzny – wielokulturowego państwa Izrael.

Krakowski Kazimierz dzięki festiwalowi to dziś dzielnica co roku promieniująca tym, czym była, jest oraz czym może być kultura żydowska jako kultura żywa i współczesna.

Ziemia

Tegorocznym hasłem przewodnim festiwalu jest „ziemia”. Jak ją rozumieć. Czy ją rozumieć. Czy w sensie agrarnym, metaforycznym, biblijnym? Organizatorzy festiwalu sugerują, by myśleć o niej jako miejscu oraz o tym, jak to miejsce definiuje tożsamość. Nie trzeba szukać daleko. Skojarzenia nasuwają się same, tak jak kilka festiwalowych punktów odniesienia: Ziemia Obiecana (czy będzie to Kanaan czy Ameryka), ziemia polska – krakowska dzielnica Kazimierz, ziemia izraelska – Erec Israel. W roku 1940 pochodzący z Krakowa żydowski muzyk Mordechaj Gebirtig napisał niezapomnianą pieśń – hymn dla okupowanego miasta *Żegnaj mi, Krakowie, Święta ziemia twa*. Zmarły 28 grudnia 2018 roku Amos Oz, w 1983 roku opublikował zbiór reportaży *Na ziemi Izraela. Erec szelanu* (hebr. „nasza ziemia”/„nasz kraj”) – tak mówią o swojej ojczyźnie Izraelczycy, zaś „Haarec” – (hebr. „kraj”/„ziemia”) to tytuł najpopularniejszego liberalnego izraelskiego dziennika.

„Żydzi, wyrażając swoją tęsknotę za Jerszalajim, mieli w zwyczaju mówić o swych miastach Mała Jerozolima. Małą Jerozolimą przez wieki był Kraków. Zaś cywilizacja, którą tu stworzyli, łączyła ziemię Krakowa z ziemią Izraela (...). Historia ziemi i jej dziedzictwo uczy nas i zmusza, by żyć odpowiedzialnie. Z pełną świadomością tego przesłania staramy się w wykładach, warsztatach, spotkaniach i koncertach szukać odpowiedzi,

co zrobić, by uchronić naszą tożsamość nierozzerwalnie związaną z ziemią” – pisze dyrektor FKŻ Janusz Makuch.

Symbolem wizualnym i centralnym punktem wielu festiwalowych wydarzeń w tym roku będzie wielki namiot ustawiony na placu przed Synagogą Wysoką, czyli w bezpośrednim sąsiedztwie księgarni Austeria oraz kawiarni Cheder. Wtajemniczeni uznają, że namiot może nawiązywać do święta Sukkot lub biblijnego Namiotu Spotkania, lecz jego wymowa znów w wielu wymiarach odnosić się będzie do fizycznego znaku osiedlenia się, wyboru swojego domu, zakończenia wędrówki w konkretnym miejscu, na konkretnym skrawku ziemi.

Zastępca dyrektora FKŻ Robert Gądek, zapraszając festiwalowych gości, mówi: „Staramy się oddać panoramę współczesnej kultury żydowskiej. Przeszliśmy długą drogę, dziś pokazujemy, że kultura żydowska jest kulturą żywą, kulturą, która wciąż się definiuje, oraz kulturą, w której każdy może zadawać pytanie »czym dla mnie jest żydowskość«. Nie jest to festiwal judaizmu. Wprawdzie w zdecydowanej mierze kultura żydowska opiera się na religii żydowskiej, lecz nie na teologii, i właśnie na szeroko rozumianej kulturze (cywilizacji, sposobie życia, sprawach społecznych, sztuce i duchowości) koncentrujemy uwagę w każdej odsłonie festiwalu.

Polsko-żydowska przestrzeń

Król Kazimierz, Esterka, Helena Rubinstein to polsko-żydowskie ikony, które dzięki muralom na Kazimierzu odzyskują pamięć w przestrzeni miejskiej. Tak działa magia sławnych i legendarnych osób, lecz Kazimierz to przecież też codzienne żydowskie życie przez setki lat, żydowscy rzemieślnicy, intelektualiści, piekarze, handlarze, rabini. Sztetl jako ostoja tego życia był małym żydowskim miasteczkiem. Historycznie Kazimierz był wyspą, miastem i dzielnicą. W czasie przemian ustrojowych za sprawą Polaków, którzy postanowili odzyskać pamięć miejsca dla żydowskich nieobecnych mieszkańców miasta, powrócił do naszej świadomości jako miejsce przechowujące i przez stulecia rozwijające kulturę Żydów aszkenazyjskich, posługujących się na co dzień językiem jidysz.

Pierwsze edycje festiwalu udowodniły, jak wielu polskich artystów oraz intelek-



Na finał jak zwykle wielki koncert Szalom na Szerokiej, FKŻ, 2006

tualistów czuło wówczas tę samą potrzebę przypomnienia o wielkim wkładzie Żydów w kulturę i historię Polski. Pragnienie ożywienia mikroświata, który opisywał Antoni Słonimski:

„Te księżycy nad inną już chodzą planetą,
Odfrunęły spłoszone milczeniem ponurym.
Już nie ma tych miasteczek, gdzie szewc był poetą,
Zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem.
Nie ma już tych miasteczek, gdzie biblijne pieśni
Wiatr łączył z polską piosnką i słowiańskim żalem,
Gdzie starzy Żydzi w sadach pod cieniem czereśni
Opłakiwali święte mury Jeruzalem”.

W 1990 roku w Komitecie festiwalowym znaleźli się zasłużeni ludzie kultury: Andrzej Wajda, Jerzy Turowicz, Kazimierz Kutz, Andrzej Szczypiorski. Potrzebę reprezentacji kultury żydowskiej tak wyrażała ówczesna minister kultury Izabela Cywińska, honorowa patronka festiwalu: „Wierzę, że Wasz Festiwal powstrzyma proces zanikania kultu-

W czasie przemian ustrojowych za sprawą Polaków, którzy postanowili odzyskać pamięć miejsca dla żydowskich nieobecnych mieszkańców miasta, Kazimierz powrócił do naszej świadomości jako miejsce przechowujące i przez stulecia rozwijające kulturę Żydów aszkenazyjskich, posługujących się na co dzień językiem jidysz.

ry żydowskiej. I nie mam wątpliwości, że dla młodych Polaków, którzy rzeczywiście po raz pierwszy dzięki temu Festiwalowi zetkną się ze śpiewem kantorów i spojrzą innymi oczami na krakowski Kazimierz, będzie to ważne doświadczenie. Ważne, głębokie i pożyteczne zarówno dla nich samych, jak i dla naszej narodowej kultury”.

Na Szerokiej

Od trzech dekad symbolicznym zwieńczeniem festiwalu jest *Szalom na Szerokiej* – koncert transmitowany przez media i będący wizytówką imprezy dla tych, którzy znają go tylko z relacji. Ulica Szeroka, niczym karnawałowy plac, wciąż i zachęca do ludycznej zabawy. Muzyka i wspólny taniec w otwartej przestrzeni, afirmacja życia, dzielenie żydowskiej radości są tym, co sprawia, że na festiwalu każdy może poczuć się częścią żydowsko-polskiej wspólnoty Kazimierza. To prawdziwa siła festiwalu, który udowadnia, że najwięcej czerpiemy i rozumiemy poprzez bezpośrednie doświadczenie, działanie oraz przeżywanie.

Bezpośrednie doświadczenie od pierwszych edycji było głównym założeniem festiwalu. Wspomnienia i wiedzę, które mogły zostać całkowicie zaprzepaszczone w wojennej pożodze, przekazywali najpierw zaprasznani z USA żydowscy imigranci, a później ich potomkowie. Pomagały przywołać mityczny sztetl, świat utracony. Udomowić Kazimierz w przeszłości, która odeszła wraz z jego oryginalnymi mieszkańcami. Przez lata program imprezy zaczął kierować się w naturalny sposób ku historycznej i obecnej ojczyźnie Żydów, czyli państwu Izrael, gdzie tożsamość żydowska ma bezpośrednie odniesienie terytorialne, społeczne oraz państwowe. Ostatnie edycje koncentrowały się wokół haseł takich jak „kibuc”, „aszkenaz” oraz „mizrach” (grupy żydowskie w wieloetnicznym Izraelu) i „dybuk” aż po symboliczny „Syjon”, by w tym roku dotrzeć do samej „ziemi”. Dziś zarówno stały bywalec festiwalu, jak i nowicjusz mogą tu znaleźć coś dla siebie. Dla niewtajemniczonych w arkana judaizmu oraz dziejów Żydów w światowej diasporze dostępne są co roku kursy języka jidysz oraz hebrajskiego, wycinanki, tańca, muzyki, wykłady oraz oprowadzania, degustacje potraw czy pokazy filmowe organizowane przez cały festiwalowy tydzień. Melomani mogą zaś udać się na koncerty kantorów, zespołów folkowych, jazzowych, klezmerów i metalowców lub przysiąść na bulwarach wiślanych, by posłuchać najlepszych izraelskich DJ-ów prezentujących nowe taneczne brzmienia prosto z Tel Awiwu.

*

Czy kultura żydowska to nasze wspólne „dzisiaj”, „wczoraj” czy może „jutro”? To pytanie dla wszystkich pokoleń gości odwiedzających FKŻ. Odpowiedź może i powinien znaleźć każdy z nas w sobie samym. Niezależnie od tego, czy jesteśmy Żydami czy Polakami, konserwatystami czy liberałami, żydowskość może być naszym stałym punktem odniesienia w kulturze, życiu codziennym, relacjach międzyludzkich jako wspólne światowe dziedzictwo, bez którego nie byłibyśmy tym, kim dziś jesteśmy.



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiar-nianego Stolika.



Beata Stankiewicz, *Remont w pracowni*, olej na płótnie, 240 x 170 cm, 2018

Fatalna pomyłka

Tekst: Paweł Smoleński

Przez cały maj '89 zjeździłem chyba pół Polski, oglądałem solidarnościowe wiece i gadałem z działaczami lokalnych komitetów obywatelskich, które wyrastały z niczego jak grzyby po deszczu. Ludzie uśmiechali się inaczej niż jeszcze kilka miesięcy wcześniej.

Ludzie wtedy byli – to chyba najlepsze słowa – pełni nadziei i entuzjazmu, ale że uda się aż tak bardzo – nie mieli pojęcia. Tu i ówdzie „nieznani sprawcy” zrywali plakaty z wizerunkami Lecha Wałęsy i naszych kandydatów do Sejmu i Senatu, gdzieś nadgorliwy dzielnicowy pogonił uczniów roznoszących opozycyjne ulotki. Lecz generalnie „oni” jakoś przycichli, jak gdyby byli pewni, że znów dadzą radę, jeśli nie uczciwie to szwindlem, co w PRL-u praktykowali już od dziesiątek lat.

Przywoziłem do mojej redakcji kilkuakapitowe relacje, mając w tyle głowy niedawny, słodki czas, gdy w podziemnych periodykach, grubych na dwa palce, można się było wypisać. Gazeta miała wówczas osiem stron drukowanych na przedpotopowych maszynach, a publikowane zdjęcia równie dobrze mogły portretować przewodniczącego NSZZ „Solidarność”, jak słonia w ZOO, bo i tak niewiele było widać. I tak czekaliśmy na dzień kontraktowych wyborów, przekonani, że nadejdzie za szybko, więc niewiele da się zrobić, ale i tak warto zakasać rękawy, bo kto wie, jak długo potrwa ten drugi w moim życiu obywatelski karnawał wolności.

W Warszawie 4 czerwca '89 zapowiadał się na słoneczny, piękny dzień. Z samego rana pokreśliłem karty do głosowania dokładnie wedle instrukcji (do Sejmu zostawiłem naszych, do Senatu naszych, lista krajowa z nazwiskami partyjno-rządowych tuzów w całości out). Przyszedłem do redakcji mieszczącej się w opuszczonym żłobku przy ulicy Iwickiej. Jeszcze nic nie było wiadomo, choć już za kilkanaście godzin wszystko okaże się jasne jak słońce.

Dalekopisy – istniały kiedyś takie urządzenia, faks uchodził za szczyt techniki, a sieci internetowej nikt sobie nie wyobrażał – wyluwały coraz to nowe wiadomości z regionów. Grzały się telefony, piszczwały tarcze, którymi wybierało się numery. Wyglądało na to, że wygrywany jak Polska długa i szeroka, w Katowicach, w Szczecinie, w Nowej Soli, w Rykach, w Żywcu, w Tucholi, w Białej Podlaskiej i w Suwałkach. Niemal każdą nową wiadomość kwitował wykrzyknik „o k...a!”, wypowiedany najczęściej podniesionym głosem, zadziwiony, zaskoczony, słowo absolutnie wulgarnie, lecz w tamtych okolicznościach wyjątkowo sympatyczne i radosne.

Tylko jeden redakcyjny kolega, dziś siwowłosy, uznany komentator, wówczas trzy-

dziestoletni chłopak, używał wykrzyknika w niewłaściwych momentach, jakby co jakiś czas nawiedzała go jakaś przykra myśl, zawstydzające wspomnienie. Spytałem, co się dzieje, lecz zbył mnie machnięciem ręki.

Kiedy smętnie jęknął „o k...a!” po raz setny, poprosiłem, żeby jednak gadał.

– Pomyliłem się – wyznał ze wstydem. – Skreśliłem nie tych, co trzeba.

Uznany dziś komentator od razu zorientował się, że popełnił błąd. Prośbą i wrzaskiem próbował wytargować z komisji wyborczej nową kartę do głosowania, lecz oczywiście nic nie wskórał. Zjeżyło go to jeszcze bardziej, a świadomość omyłki kłuła jak drzazga w palcu.

– To tylko jeden głos – próbowałem pocieszać.

– A jeśli przez ten głos przegramy? Jeśli inni ludzie pomylili się tak jak ja?

Pierwsze pytanie zdało mi się histeryczne. Lecz już drugie – całkowicie zasadne. W porównaniu do PRL-owskich pseudoelekcji te wybory były, z punktu widzenia techniki głosowania, rzeczywiście cholernie skomplikowane.

Kiedy zaś dawno po północy już z grubszą było wiadomo, że wygraliśmy, a komuniści sromotnie przegrali, kolega, który przypadkowo głosował na gen. Czesława Kiszczaka i Mieczysława F. Rakowskiego, znów się zasromał.

– No i co my z tym wszystkim zrobimy?

Nie było mądrego, który umiałby mu wtedy odpowiedzieć. Poniedziałek 5 czerwca otworzył dni do nowej rzeczywistości, jakiej wcześniej nikt z nas nie próbował.



Paweł Smoleński (ur. 1959 w Warszawie), reporter i pisarz związany od 1989 roku z „Gazetą Wyborczą”; wcześniej współpracował z pismami drugiego obiegu i pisywał do paryskiej „Kultury”. 27 grudnia 2002 r. opublikował w „Gazecie Wyborczej”

tekst *Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika*, opisujący tzw. aferę Rywina i był później jednym ze świadków wzywanych przed komisję śledczą.

Laureat kilku nagród, autor kilkunastu książek, w tym m.in. *Pochówek dla rezuna* (2001), *Irak. Piektło w raju* (2004), *Królowie Mogadiszu* (2018), a ostatnio *Wnuki Jozuego* (2019).



Narkomani obrazów

Rozmawiała Ewa Kozakiewiczowa

Tomasz Gutkowski: Ostatnio Miesiąc Fotografii znalazł się w przygotowanym przez brytyjski „The Guardian” rankingu najciekawszych miejsc i wydarzeń fotograficznych na świecie. Obok takich legend jak Fotomuseum Winterthur, ICP w Nowym Jorku czy festiwal FotoFest w Houston, Kraków zyskał renomę miejsca, w którym o fotografii myśli się w sposób niekonwencjonalny.

Ewa Kozakiewicz: Czy rzeczywiście jest tak, że istniejący od 18 lat festiwal Miesiąc Fotografii w Krakowie (5 czerwca rozpoczyna się 24, MFwK) jest być może największym i najważniejszym festiwalem fotograficznym w Europie?

Tomasz Gutkowski: Nie wiem, czy mi wypada mówić, że nasz festiwal jest największy i najważniejszy. Czym mierzyć jego wielkość? Przez te kilkanaście lat przeżyliśmy okres gigantomanii – potrafiliśmy zorganizować pięćdziesiąt do sześćdziesięciu wystaw w ramach jednej edycji, co mogło być dla publiczności nieco przytłaczające. Oczywiście cieszy to, że ciągle jesteśmy zaliczani do grona ważnych i wartych uwagi wydarzeń fotograficznych

Najważniejsze jest to, żeby publiczność zaskakiwać, wybijać ze szampowego myślenia o fotografii. Za przykład niech posłuży edycja o modzie z 2013 roku. Z wyjątkiem jednej wystawy historycznej nie było w ogóle zdjęć mody! Bunkier Sztuki wypełniły wtedy zdjęcia punków zrobione przez SB ukrytą kamerą podczas festiwalu w Jarocinie czy slajdy szkoleniowe dla agentów Stasi, które ilustrowały, jak należy się ubrać, aby się wtopić w tłum demonstrantów.

na świecie, o czym świadczyć może na przykład obecność w niedawnym rankingu brytyjskiego „Guardiana”. Natomiast dla mnie osobiście miarą sukcesu jest to, że mimo długiego stażu nasz festiwal nie traci świeżości. Tworzenie jego formuły trwa i nigdy się nie kończy. To ciągłe poszukiwanie – co dalej? Dzięki takiemu podejściu dość szybko wypracowaliśmy mocną pozycję w skali europejskiej, a nawet światowej. Kiedy zaczynaliśmy, byliśmy bardzo młodzi, nie mieliśmy pieniędzy i doświadczenia, za to nie brakowało nam zapału, odrobiny bezczelności i ciągłej gotowości do eksperymentowania i wymyślania niekonwencjonalnych zagrań. W programie dość szybko pojawiły się wielkie nazwiska:

brytyjskiego fotoreportera Martina Parra, duetu Broomberg & Chanarin, Sally Manna, a wręcz legendy jak August Sander czy Weegee. To były hity, które oczywiście są ważne, ale naszą główną ambicją było pokazywanie fotografii w bardzo szerokim i nieoczywistym kontekście. Dlatego obok sław pojawiali się artyści mało lub w ogóle w Polsce nieznani oraz wystawy problemowe wymyślone przez wieloosobowe zespoły kuratorskie.

Program każdej edycji traktujemy jak precyzyjną układankę, w której liczą się wszystkie elementy. Czasem daje to zaskakujące efekty. Kiedy przez pewien czas prezentowaliśmy fotografie według klucza „narodowego”, na przykład z Czech czy Wielkiej Brytanii, zaproszeni artyści byli zdumieni, że można ich lokalną historię fotografii opowiedzieć w tak nowatorski sposób. Mówili: my byśmy nigdy tak tego nie zrobili! I fama szła w świat... To był nasz pomysł na sukces.

Ten sukces nadszedł od razu?

Nie. Chyba w latach 2007–2008 o festiwalu zaczęła pisać zagraniczna prasa. W tym samym czasie zostaliśmy zaproszeni do ekskluzywnego grona Festival of Lights, organizacji skupiającej czołowe festiwale fotograficzne na świecie. Wtedy też, co istotne, miasto dostrzegło, że Miesiąc Fotografii to ważna impreza i że warto ją wspierać finansowo. Podobne spostrzeżenia mieli urzędnicy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zresztą miasto Kraków jest od tamtej pory nieprzerwanie głównym mecenasem festiwalu.

Czy to znaczy, że festiwal nie był wcześniej dotowany? Jak w ogóle doszło do jego powstania?

Festiwal od początku tworzyła grupa zapaleńców, pasjonatów fotografii. Wszyscy robili wszystko, nikt nie myślał o pieniądzach, napędzała nas chyba jakaś kosmiczna energia. Wyjechałem z Warszawy do Krakowa jeszcze na studiach tylko dlatego, że chciałem brać w tym udział. Wcześniej już założyłem pierwszy fotograficzny magazyn *on-line*, *topopolis.pl*. Pracowałem zdalnie, co w czasach łączy analogowych nie było jeszcze takie łatwe, ale miałem wolność i mogłem sobie pozwolić na emigrację ze stolicy. Z Miesiącem Fotografii w Krakowie na poważnie związałem się przy drugiej edycji w 2003 roku. Sam festiwal fotograficzny został założony przez



Miesiąc Fotografii 2010, *Fotografia brytyjska*, fot. Kuba Ceran

Fundację Sztuk Wizualnych powstałą w 2001 roku. Pomysłodawcą i pierwszym dyrektorem festiwalu był Aleksander „Ante” Matczewski, artysta i znawca fotografii, który format imprezy podpatrzył w Paryżu.

Pomysł polegał na tym, by zebrać je pod wspólnym szyldem i zsynchronizować daty wernisaży, tak by wszystkie prezentacje odbywały się w jednym, określonym terminie – wtedy jeszcze był to listopad. To było genialne. Urząd miasta na samym początku wsparł imprezę niewielkim dofinansowaniem. Pierwszego poważnego sponsora, firmę Hewlett-Packard, zdobyliśmy w 2004 roku i wtedy udało nam się wydać pierwszy katalog.

To był chyba rok przełomowy?

Sporo się zmieniło. Olek Matczewski przekazał mi Fundację Sztuk Wizualnych i sam festiwal. Dołączyli do mnie Karol Hordziej i Piotr Lelek, świeżo upieczony absolwent łódzkiej Filmówki, a z czasem także inni. Wspólnie podjęliśmy dwie brzemienne w skutki decyzje: przeniesienie festiwalu z listopada na maj oraz samodzielne wymyślenie i produkcję całego programu od podstaw. Nie wiedzieliśmy, na co się porywamy! Ustaliliśmy nową formułę i odtąd festiwal składał się z trzech części: tematycznego programu głównego, pre-

zentacji fotografii z jednego wybranego kraju i programu Off, zewnętrznego. Mroczne i klimatyczne knajpki oraz undergroundowe galerie zastępować zaczęły przestrzenie opuszczonych fabryk, magazynów i pustostanów, ale także, coraz częściej, galerie z prawdziwego zdarzenia.

Znajdowanie nowych, alternatywnych przestrzeni w Krakowie to były działania celowe czy przypadkowe?

Nie kierowaliśmy się modą, tylko potrzebami. Nasze wystawy gościły niezliczone galerie prywatne, a wkrótce także instytucje, które nam zaufały: Muzeum Manggha, Międzynarodowe Centrum Kultury czy Muzeum Narodowe. Bardzo pomogła nam ówczesna dyrektorka Bunkra Sztuki Masza Potocka, a tradycyjnie co roku otwarcie festiwalu odbywało się w Galerii Andrzeja Starmacha. Ale to ciągle było mało. W którymś momencie wyspecjalizowaliśmy się w wynajdywaniu i adaptowaniu różnorakich nieużytków.

Robiliśmy wystawy w zrujnowanym Młynie na Zabłociu, w pozostałościach po Fabryce Schindlera, dawnym klasztorze ss. Koletek, ale także w opuszczonych mieszkaniach i kamienicach. Odkryliśmy przestrzenie browaru przy ulicy Lubicz. Aby zorganizować tam prezentację współczesnej fotografii wę-

gierskiej musieliśmy zdobyć uprawnienia budowlane! Własnymi rękami usuwaliśmy stare tynki, stawialiśmy i malowaliśmy ściany, zakładaliśmy oświetlenie, a na koniec oprawialiśmy i wieszaliśmy fotografie. W dawnej fabryce past do butów Erdal przy rondzie Grzegórzeckim nawet wyremontowaliśmy dach. To były szalone czasy. Wszystko robiliśmy sami i z nieocenioną pomocą naszych przyjaciół. Od tamtej pory sporo się zmieniło – jak każda impreza cykliczna z długim stażem przeszliśmy proces profesjonalizacji, a dzięki środkom publicznym mogliśmy sobie pozwolić na zatrudnianie fachowców. Wystarczy powiedzieć, że kilkudziesięcioosobowy zespół organizacyjny i kuratorski wspiera co roku ponad 150 wolontariuszy. Jedno, co pozostaje bez zmian, to zamiłowanie do eksperymentowania.

Na czym to polega?

Najważniejsze, żeby publiczność zaskakiwać, wybijać ze sztampowego myślenia o fotografii. Widzowie muszą wychodzić z wystawy bogatsi o jakieś przeżycie, nową wiedzę, sposób myślenia. Dotyczy to zarówno zagadnień, które poruszamy, jak i samego medium. Za przykład niech posłuży edycja o modzie z 2013 roku. Z wyjątkiem jednej wystawy historycznej (kolekcja F.C. Gundlacha prezentowana w Muzeum Narodowym) nie było w ogóle zdjęć mody! Bunkier Sztuki wypełniły wtedy zdjęcia punków zrobione przez SB ukrytą kamerą podczas festiwalu w Jarocinie czy slajdy szkoleniowe dla agentów Stasi, które ilustrowały, jak należy się ubrać, aby się wtopić w tłum demonstrantów. W Muzeum Etnograficznym mogliśmy zobaczyć plemię Asmatów z Papui-Nowej Gwinei, które



Fot. Bartolomeo Koczenasz

Tomasz Gutkowski, rocznik 1979, studiował filozofię na UW i religioznawstwo na UJ (w obu wypadkach bez zwieńczenia edukacji dyplomem magisterskim). Członek zespołu punkowego Ciocia Stefa. Wykładowca krakowskiej ASP, Collegium Civitas i Uniwersytetu SWPS. Warszawiak z urodzenia, współ-

założyciel i wieloletni dyrektor Miesiąca Fotografii w Krakowie, szef Fundacji Sztuk Wizualnych. Dumny tata dwuletniego Leona, jego mamę, swoją życiową partnerkę, poznał dzięki Miesiącowi Fotografii. Pocho- dząca z Hiszpanii Pilar Rojo jest graficzką, autorką oprawy graficznej kilku edycji festiwalu.



Miesiąc Fotografii 2009, *Witkacy. Psychopolizm* (kuratorzy: Stefan Okołowicz, Maria Anna Potocka), fot. Bogdan Krężel

T-shirty otrzymane w ramach pomocy międzynarodowej przetwarzają w tak oryginalny sposób, że z czasem stały się inspiracją dla słynnych projektantów mody *haute couture*. A zatem tytułową modę potraktowaliśmy jako punkt wyjścia do próby odpowiedzi na pytanie, czym jest ubiór w kontekście politycznym, społecznym, ekonomicznym i tożsamościowym. To przykład podejścia, które nam przyświeca w traktowaniu tematów. Fotografia jest fantastycznym narzędziem do tego typu rozważań. Ciągłe poszukujemy nowej formuły, aktualnych tematów, ciekawych kuratorów, oryginalnych fotografów i teoretyków. Tylko tak możemy starać się robić imprezę, która co roku będzie interesująca dla szerokiej publiczności.

Co proponuje tegoroczny Miesiąc Fotografii? Które wystawy warto odwiedzić w tym roku? Najlepiej wszystkie! A z punktów obowiązkowych na pewno wystawę w Bunkrze Sztuki. Jej motywem przewodnim jest jedzenie, które skupia jak w soczewce problemy współczesności. W MOCAK-u prezentujemy kolejną odsłonę cyklu wystaw realizowanych na zamówienie, a których motywem przewodnim jest Kraków. Tym razem zaprosiliśmy Annę Orłowską. Z klasyków polecam wystawę Joanny Helander oraz Michaela Schmidta,

a po najświeższe inspiracje odsyłam do Sekcji ShowOFF będącej źródłem młodych talentów (Tytano przy Dolnych Młynów).

Wygląda na to, że 2019 będzie kolejnym rokiem przełomowym, choć efekty zmian pokazemy w pełni za rok. Chcielibyśmy wrócić do korzeni Miesiąca jako festiwalu miejskiego, być bardziej obecni w przestrzeni miasta, eksplorować to, co lokalne, być może nawet odkryć kolejny urokliwy pustostan.

Mamy mnóstwo pomysłów i niezmiennie bardzo dużo zapachu.

Miesięcznik „Kraków” jest partnerem medialnym wystawy „Miesiąc Fotografii w Krakowie”



Ewa Kozakiewicz – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”,

kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.



Sześć strun jazzu

Tekst: Paweł Kopec Zdjęcie: archiwum organizatorów

A story of Polish jazz to jeden z najbardziej znanych utworów Jarka Śmietany, w pigułce pokazujący, jak wiele wspaniałej muzyki stworzyli polscy jazzmani.

Tradycyjne instrumentarium jazzowe to rozbudowana sekcja dęta, klawiszowe, perkusja, kontrabas... gitara zdecydowanie rzadziej. Dość spojrzeć na najważniejsze nazwiska gatunku: John Scofield czy John McLaughlin nie mogą równać się popularnością z Milesem Davisem czy Herbiem Hancockiem. Jednak polscy fani jazzu nie mają problemu z odpowiedzią na pytanie o najważniejszego polskiego gitarzystę jazzowego. W dorocznym plebiscycie „Jazz Forum”, najbardziej opiniotwórczego pisma w branży, od przeszło trzydziestu lat niepodzielnie tytuł najwybitniejszego gitarzysty dzierży Jarek Śmietana.

„Jego muzyka nasycona była bluesem, miała ekspresję rocka i płynność bebopowej frazy” – tak o Śmietanie piszą organizatorzy konkursu jego imienia i w tym zdaniu zawiera się sedno geniuszu gitarzysty – paleta stylów, które składały się na niepowtarzalne brzmienie, słyszalne w każdym projekcie, którego się podjął. A miał ich na koncie sporo: przez ponad 40 lat swojej kariery wydał przeszło 30

autorskich albumów, grając z utytułowanymi muzykami z całego świata, takimi jak Art Farmer, Eddie Henderson, Carter Jefferson, Vinice Mednoza, Hamiet Bluiett, David Gilmour czy Andy McKee. Muzyk zmarł w 2013 roku po wielomiesięcznej walce z ciężką chorobą.

Kraków, czyli rodzinne miasto Śmietany, postanowił zadbać o dziedzictwo muzyka. W 2015 roku odbyła się pierwsza edycja Międzynarodowego Jazzowego Konkursu Gitarowego im. Jarka Śmietany, w którym rywalizują młodzi jazzmani z całego świata. – Powołaliśmy do życia konkurs przede wszystkim po to, aby uczcić pamięć wspaniałego gitarzysty i jazzmana – tłumaczy Witold Wnuk, twórca i dyrektor konkursu.

Rywalizujący, obok własnych kompozycji, zaprezentują również aranże utworów Jarka, patrona konkursu. Przesłuchania konkursowe odbędą się w dniach 26–28 czerwca w Państwowej Szkole Muzycznej w Krakowie przy ul. Basztowej. Laureata głównej nagrody poznamy natomiast w sobotę 29 czerwca podczas koncertu galowego.

ZAKOPANE

WYSTAWA „ZAKOPIAŃSKA KOLEKCJA SZTUKI”
17 MAJA – 14 LIPCA 2019

**WYSTAWA „GÓRY – MORZE MORZE – GÓRY”
MALARSTWO, RZEŻBA,
OBIEKT, GRAFIKA**
19 LIPCA – 8 WRZEŚNIA 2019

DNI ZAKOPANEGO
29 MAJA – 8 CZERWCA 2019

OTWARCIE SEZONU LETNIEGO
29 CZERWCA 2019

19. FESTIWAL MUZYKI ORGANOWEJ I KAMERALNEJ
30 CZERWCA – 11 SIERPNI 2019

KULTURALNY PŁĄC NIEPODLEGŁOŚCI
1 LIPCA – 15 WRZEŚNIA 2019

4. ZAKOPIAŃSKI FESTIWAL LITERACKI ORAZ TARGI SZTUKI „POD TĄTRY TYLKO Z KSIĄŻKĄ”
9–11 SIERPNI 2019

51. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FOLKLORU ZIEM GÓRSKICH
16–24 SIERPNI 2019



SZCZEGÓŁOWY PROGRAM NADCHODZĄCYCH WYDARZEŃ W ZAKOPANEM:

WWW.ZAKOPANE.PL

ZAKOPANE
ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY



Beata Stankiewicz: W 1998 ukończyła z wyróżnieniem ASP w Krakowie na kierunku malarstwa i malarstwo ściennie w pracowni prof. Józefa Lucjana Ząbkowskiego. Jej obrazy znajdują się w depozycie krakowskiej Galerii Zderzak oraz Art Station w Zurichu. Z inspiracji Zbigniewa Warpechowskiego w 2005 zakłada wraz z Sebastianem Stan-

kiewiczem galerię we własnym mieszkaniu Mieszkanie23. Do roku 2012 w galerii zrealizowano około 40 wystaw, performansów, wydarzeń i wykładów. Od 2017 roku jest członkiem Stowarzyszenia Artystycznego Otwarta Pracownia.

Zdjęcie: archiwum artystki

Życie jako dzieło sztuki

Tekst: Paweł Kopeć

Malarstwo Beaty Stankiewicz porównać można do fotografii, tak realistycznie oddaje malowane przestrzenie. Jednocześnie przedstawienie ich wyrwanych z kontekstu, z nietypowych punktów widzenia powoduje, że realizm ten jest niepokojąco bliski abstrakcji.



Live your life like a work of art – zachęcał brytyjski piosenkarz Jamie Cullum w swoim albumie z 2017 roku, choć oczywiście koncepcja „życia jako dzieła sztuki” ma dużo dłuższą tradycję, sięgającą przynajmniej prac Friedricha Nietzschego. Ten sposób myślenia z pewnością bliski jest Beacie Stankiewicz, dla której granica rozdzielająca życie prywatne i twórczość nie jest szczególnie wyraźna.

Beata Stankiewicz kończy studia malarские na krakowskiej ASP w 1998 roku, ale rozgłos zdobywa dopiero siedem lat później. To wtedy wraz z mężem otwiera galerię Mieszkanie23. Od klasycznych galerii odróżnia się tym, że jest to zarówno mieszkanie, jak i pracownia artystki. Każdy przekraczający próg galerii stawał się w ten sposób gościem Stankiewiczów, a każdy gość – zwiedzającym galerię. Ten dualizm, który nie jest jednak przeciwieństwem, ale symbiozą, widać także w pracach artystki. Stankiewicz maluje przede wszystkim wnętrza oraz ludzkie twarze. „Prace Stankiewicz przywodzą na myśl prace amerykańskich hiperrealistów, ale jest w nich jakaś niezwykła magia, daleko wychodząca poza realizm” pisał o artystce krytyk Andrzej Jajszczyk. – Obraz z wnętrzem to zawsze opowieść o człowieku. To znaczy: przesłanie zarówno portretu człowieka, jak i portretu wnętrza są do siebie podobne. Bardzo wymowne jest nama-

lowane pustego pokoju. To może być opowieść o samotności, o pustce, albo zupełnie odwrotnie – opisuje swoje obszary zainteresowań artystka.

Choć Mieszkanie23 zawiesiło działalność w 2012 roku, nie zmieniły się zainteresowania artystki. Jej poprzednia wystawa *Dom pracy* twórczej krąży wokół tego samego zagadnienia: w jaki sposób proces tworzenia przekłada się na życie artysty, co w jego najbliższej, najbardziej intymnej przestrzeni odciska swoje piętno w twórczości? W ramach tego projektu Stankiewicz uwieczniła między innymi pracownię Cezanne’a, pokój Józefa Czapskiego czy miejsce pracy Roalda Dahla. Teraz w MOCAK-u oglądać będzie można jej nową serię, *Dziesięciu najwybitniejszych Żydów polskiego pochodzenia XX wieku* – jest to odwołanie do wystawy *Dziesięć portretów Żydów XX wieku* Andy’ego Warhola. – Wybrałam tych, którzy odcisnęli trwałe ślady na naszej historii i kulturze. O narodzie świadczy jego kultura. Ona jest nadwyżką, tym co pozostaje, mówi w imieniu społeczeństwa – opowiada o swojej nowej wystawie Beata Stankiewicz.



Paweł Kopeć – gdańszczanin na nowierze, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.

KWESTIONARIUSZ PROUSTA

PO KRAKOWSKU

Beata Stankiewicz

Kwestionariusz Prousta po krakowsku to zestaw kilkunastu pytań, które ponoć szybko pokazują osobowość ankietowanego. Proust miał taki w tym udział, że dwukrotnie odpowiadał na pytania swej znajomej. Czasami ta salonowa psychozabawa z przełomu wieku XIX i XX wraca.

Największy bohater życia codziennego?

Ten, który godzi życie zawodowe z życiem rodzinnym.

Twoja cecha, na którą inni zawsze zwracają uwagę?

Otwartość.

Cecha, którą sama byś się opisała?

Pracowitość.

Cecha, którą najbardziej cenisz u innych?

Wielkoduszność.

Zachowanie u innych, którego nie znosisz?

Wścibstwo.

Umiejętność/talent, który zawsze chciałabyś posiadać?

Cierpliwość.

Znienawidzone słowo?

Wyrażenie „nie da się zrobić”.

Rzecz, której najbardziej żałujesz?

Straconego czasu.

Zawód, który chciałabyś wykonywać, gdybyś nie mogła robić tego, co teraz?

Architekt wnętrz.

Zawód, którego za nic w świecie byś się nie podjęła?

Prawnik.

Co to dla ciebie szczęście zupełne?

Życie w zgodzie ze sobą.

Ulubiony zapach?

Piwonia.

Twój największy strach?

Utrata najbliższych.

Gdybyś umarła, ale mogła powrócić, jakie byłoby twoje nowe wcielenie?

Takie samo.

Ulubiony pisarz?

Sandor Marai.

Ulubiony malarz?

Vermeer.

Zwrot, którego nadużywasz?

„No...”.

Zaleta, którą uważasz za najbardziej przereklamowaną?

Elastyczność.

Błąd, który najczęściej wybaczasz?

Spóźnienie.

Postać historyczna, z którą się najbardziej utożsamiasz?

Mahatma Gandhi.

Ulubiony zakątek w Krakowie?

Moja pracownia.

Twoje motto:

Jeśli nie wiesz, co masz robić, nie rób nic.

(opr. pk)



OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

Finał III edycji

Uroczystość wręczenia NAGRODY ŻÓLTEJ CIŻEMKI za najlepszą książkę dla dzieci i młodzieży wydaną w 2018 roku

Fundator Nagrody: Prezydent Miasta Krakowa prof. Jacek Majchrowski

11 czerwca 2019, godz. 12.00

Klub Dziennikarzy „Pod Gruszką” | ul. Szczepańska 1, Kraków

fol. K. Lis

BIBLIOTEKA KRAKÓW • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA



ORGANIZATOR:



PATRONAT MEDIALNY:



Średniowieczny zespół miejski Torunia

(na liście UNESCO od 1997 roku)

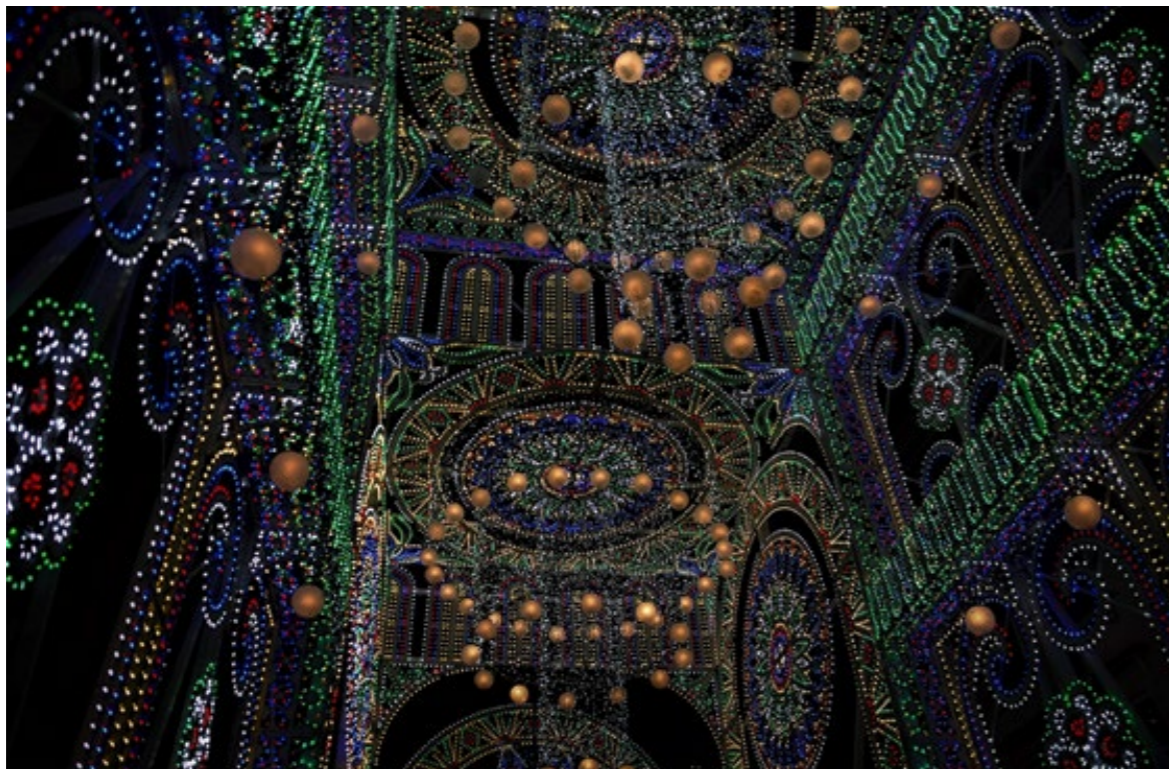
Tekst i zdjęcie: Jacek Balcewicz

Do Torunia przyjechałem zaraz po Nowym Roku, w którym miałem zdawać akurat maturę. Na wycieczkę szkolną, w której pierwotnie mieli uczestniczyć tylko nauczyciele. Wszystko było zamówione i opłacone, gdy kurator powiedział naszym belfrom stanowczo „nie”. Wtedy rozpoczęło się polowanie wśród maturzystów, by nic się nie zmarnowało. Jechać czy uczyć się do matury – to był dylemat. Trasa obszerna, cena przystępna. Nauka nie zajac.

Ostatni raz w Toruniu pojawiłem się latem, prawie trzy lata temu, na Festiwalu Światła. Wszedłem do wirtualnej katedry zbudowanej na ulicy Długiej i... oniemiałem. Poczułem też zwyczajną zazdrość, że czegoś podobnego nie drobił się Kraków.

*

Od 1 do 6 czerwca Kraków gości 15. Kongres Organizacji Światowych Miast Dziedzictwa (OWHC – Organization of World Heritage Cities), największej



W Toruniu zakochałem się w gotyku. Raz i na zawsze. I pierwszy raz w życiu zobaczyłem wielki dzwon kołysany nogami. To Tuba Dei – trzeci co do wielkości – także dzisiaj, dzwon w Polsce, wieńczący wieżę katedry Janów Ewangelisty i Chrzyciela. Degustowaliśmy smak pierników i chodziliśmy śladami Kopernika. Podziwialiśmy miasto łączące Kujawę z Pomorzem, w którym po wojnie stworzono od zera znaczący ośrodek akademicki. Ktoś rzucił pytanie: a może by tak na studia do Torunia? Później, po latach, co roku przejeżdżałem przez Toruń w drodze nad morze. Zanim powstała obwodnica, była obowiązkowa kolejka na moście przez Wisłę. To dawało zawsze szansę na podziwianie wyjątkowej urody, niczym niepopusutej, panoramy starego miasta. A gdy kolejka posuwała się sprawnie, był czas na zjazd do miasta, by znowu posmakować gotyku.

międzynarodowej organizacji, która zrzesza miasta historyczne wpisane na listę światowego dziedzictwa kulturalnego i naturalnego UNESCO. (red)

Wystawa *Dziedzictwo świata – fotografia/The World Heritage Photo* naszego kolegi Jacka Balcewicza to wkład naszego autora, samego miesięcznika „Kraków” i Biblioteki Kraków, czyli naszego wydawcy, właśnie w pamięć dziedzictwa. (red.)



Jacek Balcewicz – najmłodszy z grona „ojców założycieli” miesięcznika „Kraków”. Z wykształcenia inżynier górnik po AGH, z temperamentu i profesji dziennikarz, publicysta i fotografik. Radny Dzielnicy I Kraków Stare Miasto od trzech kadencji. Mieszka na Kazimierzu.

Stare Miasto w Warszawie

(na liście UNESCO od 1980 roku)

Tekst i zdjęcie: Jacek Balcewicz

W Warszawie pojawiłem się po raz pierwszy, mając 11 lat. Tradycyjnie na wycieczce szkolnej. Po całonocnej podróży autobusem z Dolnego Śląska trafiliśmy na odsłonięcie pomnika Marii Kopnickiej, patronki także mojej szkoły podstawowej. W pamięci pozostał wprawdzie zamglony, ale obszerny obraz zawierający Pałac Kultury, sezamki sprzedawane przez przekupki, czerwone trolejbusy, pierwsze przegubowe jelicze-ogórki, kamieniczki

gle z wnioskiem krakowskim, który ma numer 29. O ile w Krakowie wszystko było i jest na Starym Mieście oryginalne, o tyle w przypadku warszawskiej Starówki dostrzeżono i podkreślono heroiczny wysiłek i pietyzm odbudowy oraz rekonstrukcji. Hitlerowcy pod koniec II wojny światowej zostawili nam miasto planowo i perfekcyjnie zniszczone w 85 procentach. Miasto, którego miało nie być! Dzisiejsze Stare Miasto to inny świat, który do-



Starówki znane wcześniej z pocztówek. W uszach dźwięczały cytaty z piosenek „kamienne schodki” i „małe mieszkanko na Mariensztacie”. Kiedy przejeżdżaliśmy koło hotelu Metropol, nasz przewodnik, druh-komendant i chórmistrz w jednej osobie stwierdził przez mikrofon z lekkim przekąsem: – A tu zobaczcie, dzieci, ile zostało z warszawskiego metra. Wtedy panowała doktryna mówiąca, że w Warszawie metra nie da się zbudować z uwagi na niekorzystne warunki geologiczne. Potem miałem długą przerwę i w Warszawie zacząłem regularnie się pojawiać, gdy wybudowano Dworzec Centralny.

Stare Miasto w Warszawie na listę światowego dziedzictwa UNESCO zostało wpisane w 1980 roku pod numerem referencyjnym 30, co oznacza, że wniosek był przygotowywany równole-

pełnia odbudowany w latach 70. XX wieku Zamek Królewski. Miejsce, gdzie czas płynie inaczej niż w wieżowcach w centrum i biurowcach na dawnych przedmieściach. A duch historii przechadza się razem z nami. Szkoda tylko, że obszar wpisu ograniczono wyłącznie do 25-hektarowego (6 razy mniej niż w Krakowie) obszaru wyłącznie Starego Miasta, pozostawiając poza obszarem chronionym tak zwane Nowe Miasto po drugiej stronie Barbakanu i Mariensztat.

*

Zdjęcia Jacka Balcewicza, artystycznie dokumentujące obiekty światowego dziedzictwa kulturowego, można oglądać od czerwca do lipca w sali Centrum Obsługi Ruchu Turystycznego pod Wawelem (ul. Powiśle 11).

SERDECZNIE ZAPRASZAMY!

[red]

Po piąte: nie zabijaj

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Ulubieni pisarze i najnowsze bestsellery, fascynujące spotkania i po prostu dobre książki – to wszystko czeka nas podczas Międzynarodowego Festiwalu Kryminału, który na przełomie maja i czerwca już po raz 16. odbywa się we Wrocławiu.

Trudno uwierzyć, że na początku lat dwudziętych wydawano w Polsce kilka kryminałów rocznie polskich autorów. Dekadę później było ich już sto, w obecnie – prawie 300! Teraz możemy przebierać w rozmaitych odmianach tego gatunku: od mocnych i krwistych obyczajowo powieści Gai Grzegorzewskiej, przez odmalowane z pieczołowitością konflikty społeczne Zygmunta Miłoszewskiego, aż po mroczny dawny Wrocław Marka Krajewskiego i międzywojenne pejzaże Marcina Wrońskiego. A to i tak tylko zarys tego, co oferują wydawnictwa, bo w powieści kryminalnej wciąż pojawiają się nowe gwiazdy i pozycje, które rozgrzewają czytelników. Ostatni hit to książka Jakuba Szamałka *Cokolwiek wybierzesz*, której osią fabularną jest

świat mediów i najbardziej przerażające miejsca w sieci. Jeśli chcemy być na bieżąco, musimy być czujni, bo świetnych kryminałów przybywa – będzie można się o tym przekonać we Wrocławiu podczas Międzynarodowego Festiwalu Kryminału. Kto nie był, niech natychmiast nadrobi zaległości – takiej atmosfery nie ma nigdzie, a dreszcze zdarzają się nie tylko ze strachu, ale i z powodu prawdziwych literackich zachwyty.

Krakowskie noce kryminalne

Festiwal Kryminału powstał z pasji i przekonania, że podobnie jak w Skandynawii, tak i nad Wisłą może rozpocząć się rodzima moda na powieść kryminalną i to nie byle jaką. Najpierw powstało Stowarzy-

szenie Powieści Kryminalnej i Sensacyjnej Trup w Szafie – należeli do niego Irek Grin, Marcin Świetlicki, Marcin Maruta i Witold Bereś. Głównym zadaniem stowarzyszenia było stworzenie nowego festiwalu literackiego poświęconego kryminałowi i ufundowanie nagrody „Wielkiego Kalibru”. Pierwsze edycje prowadzone były w Krakowie, w typowo krakowskiej atmosferze: na Kazimierzu, gdzie przy wódeczce w salach Alchemii czy Klezmer Hois twórcy biesiadowali do późnych godzin nocnych, dyskutując o najlepszych powieściach i bezcennych pomysłach na kryminał. Festiwal od razu przyciągnął ludzi zafascynowanych kryminałem, na przykład wybitną dziennikarkę Janinę Paradowską, która czytała chyba wszystko. Dla debiutującej pisarki Katarzyny Kwiatkowskiej za powieść *Zbrodnia w błękicie* przyznała nawet prywatną nagrodę – roczną prenumeratę „Polityki”. Po śmierci Paradowskiej twórcy festiwalu chcieli uczcić jej pamięć – krakowska Fundacja Świat ma Sens ufundowała nagrodę specjalną jej imienia. W tej chwili zwycięzca otrzymuje dodatkowo prenumeratę miesięcznika „Kraków”.

Potem festiwal przeniósł się do Wrocławia. I dzięki wsparciu ówczesnego prezydenta miasta Rafała Dutkiewicza w krótkim czasie wyrósł na jedno z najciekawszych wydarzeń kulturalnych. A dziś? Obok Krakow-

skiego Festiwalu Conrada to najważniejsza impreza literacka w kraju.

Kryminał literaturą klasy B?

W jednym z wywiadów Irek Grin podkreślał, że chciałby, by Festiwal Kryminału pozbawił ten gatunek łatki literatury klasy B i „zasypał przepaść między literaturą popularną a artystyczną”. Trzeba przyznać, że świetnie się to udaje. Coraz więcej twórców literatury artystycznej sięga po kostium kryminału i pisze powieści w tym gatunku – taka jest książka *Dwanaście* Marcina Świetlickiego (otrzymała nagrodę „Wielkiego Kalibru”), *Drwal* Michała Witkowskiego czy znakomity thriller *Ciemno, prawie noc* Joanny Bator, za który przyznano pisarce Nagrodę Nike. Na podstawie tej powieści powstał też film w reżyserii Borysa Lankosza, który niedawno wszedł do polskich kin.

– Polski kryminał coraz częściej uczestniczy w grze o definicję współczesności, rozmawia o obyczajowości, próbuje obejrzeć świat, w którym się poruszamy. W książkach z ostatnich lat mamy i Smoleńsk, i pedofilię, i handel żywym towarem. Wcześniej to nie było takie oczywiste. Społeczna misja pisarza, długo zarezerwowana dla mainstreamu, jest dzisiaj realizowana przez pisarzy gatunkowych – mówi Irek Grin w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.



Irek Grin, twórca festiwalu



Mariusz Czubaj, Marcin Świetlicki, Tomasz Piątek, Gaja Grzegorzewska



Katarzyna Bonda

Laureaci i laureatki

W ubiegłym roku Jury musiało przeczytać aż 90 powieści kryminalnych, spośród których wybrano zwycięski tytuł – „Wielki Kaliber” otrzymała książka Ryszarda Ćwirleja *Tylko umarli wiedzą*. Ale festiwal to nie tylko nagroda główna, ważne są też inne kategorie, które dobrze pokazują tętno powieści kryminalnej i fascynację czytelników. I tak na przykład Katarzyna Bonda nie otrzymała jeszcze nagrody „Wielkiego Kalibru”, za to czytelnicy przyznali jej swój laur za *Pochłaniacz*. Podobnie Remigiusz Mróz, którego powieść *Kasacja* wybrali czytelnicy w 2016 roku. Ulubieńcem pasjonatów kryminału jest Marcin Wroński i jego dziejące się w okresie międzywojennym mroczne retro śledztwa z Lublina – otrzymał nie tylko nagrodę „Wielkiego Kalibru”, ale i dwa razy nagrodę czytelników. Publiczność dwa razy doceniła też Ryszarda Ćwirleja – poprzednie edycje należały do niego, czytelnicy zagłosowali zarówno na *Śliski interes*, jak i na *Tylko umarli wiedzą*. Jego typ powieści milicyjnych rozgrywających się w latach 80. ubiegłego wieku wyjątkowo przypadł odbiorcom do gustu. Widać, że czytelnicy są wierni konkretnym narracjom, z niecierpliwością czekają na kolejne wydania, są do bohaterów przywiązani. Podczas spotkań mówią, że dobre powieści kryminalne wciągają jak najlepszy serial.

W gronie zwycięzców ostatnich lat znalazły się też pisarki: Joanna Jodełka (*Polichromia*), Marta Guzowska (*Ofiara Polikseny*) i Gaja Grzegorzewska (*Topielica*). Grzegorzewska podczas uroczystości wręczenia nagród skradła serca publiczności – zapytana przez jednego z uczestników, na co przeznaczy nagrodę, odpowiedziała z rozbrajającą szczerością, że na nowy nos. Jej cykl powieściowy doceniono za stworzenie pierwszej bohaterki feministycznej, twardej i charakternej detektywki Julii Dobrowolskiej.

Dwóch autorów otrzymało nagrodę „Wielkiego Kalibru” po dwa razy: Mariusz Czubaj (*21:37* i *R.I.P.*) i Zygmunt Miłoszewski (*Uwikłanie* i *Ziarno prawdy*). Te nazwiska są dobrze znane wielbicielom gatunku – ich powieści są zazwyczaj na szczytach listy bestsellerów, przetłumaczono je na kilkanaście języków. *Ziarno prawdy* Miłoszewskiego, opowieść o dziwnej rytualnej zbrodni i antysemickich nastrojach, doczekało się też ekranizacji.

Wybitni twórcy gatunku otrzymują co roku Honorową Nagrodę Wielkiego Kalibru. Tu zwykle nie ma zaskoczeń – wśród laureatów znaleźli się Jo Nesbø, Walter Mosley czy Joanna Chmielewska.

Przestraszymy się po raz 16.

W tym roku festiwal trwa w dniach 29 maja – 2 czerwca. Jurorzy podadzą siedem tytu-



Janina Paradowska (jurorka) i Gaja Grzegorzewska

łów, spośród których wybiorą zwycięzcę. Lista zostanie też przekazana do wiadomości publicznej, by na swojego zwycięzcę esemesowo mogli zagłosować czytelnicy. W programie festiwalu co roku organizowane są warsztaty literackie dla utalentowanych młodych twórców, jest też konkurs na najlepsze opowiadanie kryminalne – nagroda to udział w warsztatach i możliwość pracy nad rozwinięciem opowiadania w formę powieściową. Na pewno wydarzeniem będzie spotkanie z gwiazdą niemieckiej powieści kryminalnej i to gwiazdą przez duże G. Gość specjalny to Sebastian Fitzek, którego thrillery psychologiczne tylko w samych Niemczech sprzedały się w liczbie 10 milionów egzemplarzy. Zostały też przetłumaczone na 30 języków, były ekranizowane, a także adaptowane na scenę teatralną. Pojawiają się też dobrze znani polscy autorzy kryminałów: Marta Guzowska, Mariusz Czubaj i Wojciech Chmielarz. Wystąpi też profesor historii sztuki Małgorzata Omilanowska, a także dwoje jurorów nagrody „Wielkiego Kalibru” – Grzegorz Sowula i Anna Marchewka.

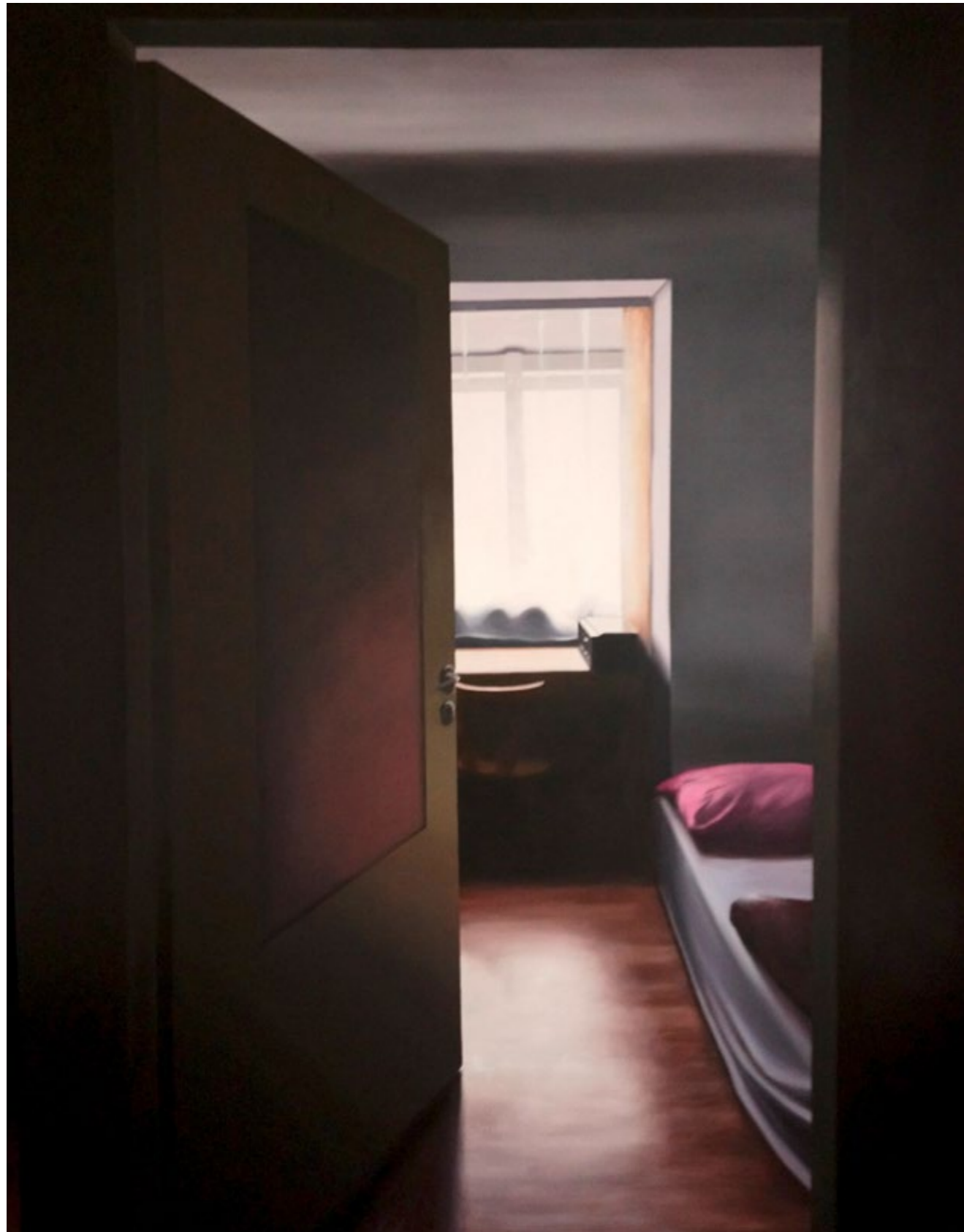
Za co kochamy kryminały? Irek Grin ma doskonałą odpowiedź: – Dla większości czytelników gatunkowa literatura ma jednak działanie katarktyczne. Chcemy wierzyć w istnienie sił strzegących porządku. Wprawdzie te siły trochę pijane i smutne,

mają za sobą trzy rozwody, nie śpią po nocach, ale w momencie, gdy jesteśmy zagrożeni, są blisko”.

*Cytaty pochodzą z wywiadu Romana Pawłowskiego z Irkiem Grinem *Cała Polska do kryminału*, opublikowanego 5 grudnia 2013 roku w „Gazecie Wyborczej”. Miesięcznik „Kraków” jest patronem medialnym Festiwalu. Zdjęcia za wiedzą i zgodą właściciela – organizatora Festiwalu.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskaliami”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą” i portalem publicystyczno-sportowym *Polska Ma Sens*. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień marketingowiec i dziennikarka „Codziennika Feministycznego”.

Beata Stankiewicz, *Pokój nr 33*, olej na płótnie, 240 x 180 cm, 2018

Czerwiec 1919 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 czerwca.** Z kroniki „Czasu”: „1 czerwca odbędzie się pod protektoratem hr. Edwardowej Tyszkiewiczowej w sali Grand Hotelu podwieczorek z muzyką rumuńską braci Jonescu, z loterią fantową obrazów najwybitniejszych artystów, pocztą towarzyską i różnymi niespodziankami. Dochód przeznaczony dla ubogiej młodzieży szkół średnich”.

✂ **3 czerwca.** „Dyrekcja policji rozplakatowała na murach miasta odezwę do mieszkańców Krakowa, w której wzywa ludność do współdziałania w zwalczaniu szpiegostwa, a zarazem ostrzega przed głośnym prowadzeniem rozmów i dyskusji w miejscach publicznych na temat spraw wojskowych” – przestrzegają „Czas”.

Przyjezdni dziwią się, że niektórzy fryzjerzy za ostrzyżenie włosów maszynką każą sobie płacić 5 kor. Zapewne jest to cena b. wygórowana, kto jednak przyjeżdża do Krakowa, musi zgodzić się z losem i będzie strzyżony na wszystkie strony przez naszych różnorakich paskarzy.

✂ **3 czerwca.** Dzienniki opisywały entuzjastyczne powitanie gen. Józefa Hallera, który przybył wraz ze sztabem na krakowski dworzec. Generał kwaterował w pałacu Tyszkiewiczów przy ul. Garbarskiej 1, jego sztab ulokowano w hotelu Polonia.

✂ **3 czerwca.** Jak odnotował „Nowy Dziennik”: „Wczoraj Jan Celej usiłował na Rynku Głównym obciąć nożycami brodę przechodzącemu Żydowi. Celeja aresztowano”.

✂ **3 czerwca.** Dzienniki przyniosły wiadomość o śmierci wybitnego artysty teatru lwowskiego, a w ostatnich latach Teatru im. Słowackiego Ferdynanda Feldmana (1862–1919), znanego przede wszystkim z ról w komediach Aleksandra Fredry.

Ferdynand Feldman był ojcem popularnej aktorki charakterystycznej niedawnych jeszcze czasów Krystyny Feldman (1916–2007).

✂ **4 czerwca.** „Za paskarstwo cukrem aresztowano 18-letniego Leizera Grüna ze Strzemieszyc, który sprzedał 10 kg cukru po 25 koron za kg. Jak się okazało cukier ten był zmieszany z solą” – donosił „Czas”.

✂ **4 czerwca.** Anons w „IKC” zachęcał: „Karły francuskie w Teatrze Nowości! Oto naj-

nowsza sensacja Krakowa, która ściąga tłumy. Program obecny zaliczyć można do najlepszych”.

✂ **5 czerwca.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „Wczorajszej nocy około 2 godz. gromada bandytów napadła na klasztor w Łagiewnikach pod Krakowem. Zbudzone hałasem zakonnice zatelefonowały po pomoc policji i poczęły dzwonić na alarm. Bandyci mimo alarmu wyłamali drzwi do stajen, rabując kury, świnie itd. Usłyszawszy jednak nadchodzącą policję, porzucili łup i uciekli. Policja wdrożyła dochodzenie”.

✂ **5 czerwca.** Smutne zdarzenie odnotowała „Nowa Reforma”: „Wczoraj rano Józef Kowalik, starszy maszynista teatru miejskiego przy wskakiwaniu do nadjeżdżającego pociągu, zepchnięty został przez cisnącą się publiczność pod koła wagonu, które obciły mu lewą nogę. Nieszczęśliwemu skradziono na dobitkę zarzutkę i pakunki”.

✂ **6 czerwca.** „Nowa Reforma” zamieściła informację o tajemniczym samobójstwie: „Wczoraj po południu na cmentarzu Rakowickim odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru 60-letni Stanisław Małkowski, notariusz ze Lwowa. Powód rozpaczliwego kroku nieznany”.

✂ **7-8 czerwca.** Przy jednym z kramów w Sukiennicach miała miejsce utarczka pomiędzy żydowskimi kupcami i dwójką żołnierzy z przybyłej właśnie do Krakowa armii gen. Józefa Hallera. Niestety, ów błąh z pozoru incydent spowodował dwudniowe ekscesy antyżydowskie, połączone z grabieżą sklepów przy głównych ulicach miasta. Rozruchy stłumił dopiero szwadron kawalerii i kompania hallerczyków. W czasie zajść rannych zostało ok. 200 cywilów i wojskowych. Policja jeszcze kilka tygodni później wychwytywała sprawców kradzieży, a wiele towarów udało się odzyskać. Prasa wszystkich odcieni jednoznacznie potępiła ekscesy.

✂ **8 czerwca.** Jak podał „Czas”: „Starostwo Krakowskie z powodu panującej pod Krakowem epidemii tyfusu płamistego i niebezpieczeństwa zawleczenia tej epidemii, zakazało odbycia w czasie Zielonych Świąt odpustu przy klasztorze kamedułów na Bielanach. Tyfus panuje we wsiach: Bielany, Przegorzały, Wola Justowska, Kryspinów, Budzyń i Liszki”.

✂ **9 czerwca.** W prasie ukazał się komunikat wydziału prasowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: „Wobec stałego ukazywania się w piśmie codziennych ogłoszeń wróżbitów i wróżek, polecam zawiadomić redakcję cza-



Nakryta szklanym dachem restauracyjna sala Grand Hotelu była często widownią wielu imprez i koncertów, fot. 1927, NAC



Pałac Tyszkiewiczów przy ul. Garbarskiej 1, fot. 1938, NAC

sopism miejscowych, że ogłoszenia te, jako dotyczące niedozwolonego procederu, nie mogą być w myśl artykułu VIII tymczasowych przepisów prasowych przyjmowane”.

✂ **11 czerwca.** Zniesiono ograniczenia policyjne (m.in. zakaz zgromadzeń, zakaz opuszczania domów po godz. 21 i sprzedaż alkoholu), wprowadzone w związku z rozruchami antyżydowskimi.

✂ **11 czerwca.** „Kontrola dokumentów osobistych na dworcu kolejowym, nawet dorywcza przy pociągach, zupełnie ustała. Obecnie pasażerami przyjeżdżającymi do Krakowa nikt się nie interesuje. Nie wiadomo dlaczego zwinięto właściwie ekspozyturę policji na dworcu” – ubolewał „IKC”.

✂ **11 czerwca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Na dworcu w Podgórzu aresztowano onegdaj Józefa Kopeckiego, dezertera, karanego kilkakrotnie za kradzieże, który udając komisarza rewidował ludzi, zabierając pieniądze i inne drobiazgi”.

✂ **12 czerwca.** „Andrzej Kiszka, bandyta z Ludwinowa, który z innymi towarzyszami uciekł wczoraj kanałem z więzienia sądu karnego, poranił się w głowę w kanale. Pogotowie ratunkowe, po opatrzeniu odstawiło go z powrotem do więzienia” – relacjonował reporter „Głosu Narodu”.

✂ **15 czerwca.** Z kroniki „IKC”: „Restauracja kościoła św. Anny, przerwana w czasie wojny, prowadzona jest obecnie dalej pod kierunkiem prof. Józefa Pokutyńskiego. Robotnicy kamieniarscy zajęci są obciosywaniem potężnych bloków wapiennych dla rekonstrukcji zniszczonego gzymsu szczytowego”.

✂ **15 czerwca.** Ta sama kronika alarmuje: „Niektóre pensjonaty krakowskie polecamy gorąco opiece miejskiego Urzędu Zdrowia i komisji sanitarnej miasta. Wprost wierzyć się nie chce, że można mieć odwagę i wynajmować przyjezdnym »pokoje« wypełnione robactwem i śmieciami. Jeden taki miły »pensjonacik« znajduje się niedaleko ul. Radziwiłłowskiej”.

✂ **15 czerwca.** „Wczoraj rano dwóch oficerów francuskich i kilku polskich aresztowało paru Żydów, którzy u wylotu ul. Grodzkiej i Rynku rozdawali publiczności odezwy bolszewickie. Agitatorów bolszewickich odprawiono na główną strażnicę wojskową” – relacjonował reporter „Czasu”.

✂ **16 czerwca.** „Ruch tramwajowy w uroczystość Bożego Ciała, dnia 19 bm., rozpocznie się na wszystkich liniach dopiero o 12 w południe” – przypominał „Czas”.

✂ **18 czerwca.** „Wczoraj hallerczycy oddali w ręce policji Józefa Groszkowskiego recte Birnbauma, znanego rzeźmieszka. Birnbaum zjawił się w koszarach hallerczyków i w prowokacyjny sposób namawiał ich do rabowania sklepów żydowskich” – odnotował „Czas”.

✂ **21 czerwca.** W salach Muzeum Narodowego w Sukiennicach urządzono – opisywa-

ny przez prasę – raut na cześć gen. J. Hallera i jego sztabu, z udziałem około 800 osób.

✂ **22 czerwca.** „Głos Narodu” zamieścił taką oto oryginalną notkę: „Wojsko Hallera zajęło już w Krakowie sześć hoteli. Wobec tego reszta hoteli, które już wcześniej były przepełnione, nie może przyjmować. Mieszkania prywatne z pewnymi wyjątkami są również od miesięcy przepełnione. Ten stan rzeczy powinien odwieść mających zamiar przybyć do naszego miasta, jeśli przyjazd ten nie jest nieodzownym”.

✂ **22 czerwca.** W wieku 64 lat zmarł Edmund Zieleniewski, naczelny dyrektor firmy „E. Zieleniewski T.A.”, b. poseł do parlamentu wiedeńskiego, wiceprezes Koła Polskiego.

✂ **23 czerwca.** „Przyjezdni dziwią się, że niektórzy fryzjerzy za ostrzyżenie włosów maszynką, każą sobie płacić 5 kor. Zapewne jest to cena b. wygórowana, kto jednak przyjeżdża do Krakowa, musi zgodzić się z losem, że będzie strzyżony na wszystkie strony przez naszych różnorodnych paskarzy” – kwitował sarkastycznie reporter „IKC”.

✂ **25 czerwca.** „Czas” opisywał nietypowy wypadek: „Służąca dra Himmelblaua, Karolina Friedel podczas mycia okna spadła z I p. przy ul. Lubicz 9, na szklany dach werandy restauracyjnej. Zdruzgotąła go swym ciężarem, odnosząc liczne obrażenia i lekkie wstrząs mózgu. Był to drugi wypadek u dra Himmelblaua. Przed pięciu laty spaliła się u niego inna służąca”.

✂ **26 czerwca.** Następnego dnia „Czas” prostował powyższą informację: „Służąca Karolina Friedel, która wypadła z okna mieszkania dra Himmelblaua, ma się już zupełnie dobrze i powróciła do zajęć. Zarazem stwierdzamy, że mylną była wiadomość, jakoby przed pięciu laty spaliła się jakaś służąca w mieszkaniu doktora”.

✂ **29 czerwca.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Wczoraj aresztowano Stanisława Zapałę, który w starannym opakowaniu, zamiast tytoniu »tureckiego« sprzedawał siano”.

✂ **30 czerwca.** Anons z „Nowego Dziennika”: „Dla mojego kuzyna, długoletniego majstra stolarskiego, lat 27 z ukończoną szkołą art.-przemysł., inteligentnego, z lepszej rodziny, o niezwykle prawym charakterze, poszukuję panią inteligentną, która pomoże mu do zabezpieczenia bytu. Zgłoszenia z załączeniem fotografii i podaniem posagu, do adm. Nowego Dziennika”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



1K

Tysiąc skarbów Krakowa

Dzieje i sztuka

- ♦ imponujący przewodnik po tysiącletnich dziejach i kulturze Krakowa
- ♦ 1000 znanych i nieoczywistych skarbów z kolekcji publicznych, kościelnych i prywatnych
 - ♦ ponad 1300 archiwalnych i współczesnych zdjęć
 - ♦ efekt ponad trzyletniej pracy wybitnych specjalistów

Album do kupienia w Galerii MCK oraz w księgarni online: www.mck.krakow.pl/księgarnia

Rynek Główny 25, Kraków



MIĘDZYNARODOWE
CENTRUM
KULTURY



O potrzebie tęczy

Tekst: Ewa Kozakiewiczowa Zdjęcie: z archiwum Cricoteki

Na wystawie Sarkisa w Cricotece panuje półmrok, lśnią kolory, jarzą się neony, a cienie rysują na ścianach i podłodze tajemnicze wzory.

Cały świat potrzebuje tęczy... Tak twierdzi Sarkis, światowej sławy artysta konceptualny, który pokazuje swe dzieła po raz drugi w Polsce. W 2017 roku gościła go Zachęta w Warszawie, teraz mamy okazję zobaczyć świetne dzieła w krakowskiej Cricotece. Sarkis zawsze zastanawia się, gdzie ma wystawiać – interesuje go charakter miejsca, a jego działanie ma charakter interwencji w zastaną przestrzeń. Ważny jest kontekst. Tak było w Zachęcie – zygakowa neonowa *Tęcza* rozświetlała nieskazitelnie białą przestrzeń sali wystawienniczej, przestrzegając jakby przed wejściem do kolejnej, gdzie na fotografiach pokazywano okropności wojny...

Efektom wizualnym odpowiada monotonnie sączący się dźwięk, coś jakby kropla miarowo padająca na taflę wody. Sarkis świadomie posługuje się zjawiskiem synestezji. Czas płynie jakby wolniej, a z półmroku wynurzają się artefakty pochodzące ze spektakli Tadeusza Kantora: *Wielopole*, *Niech szczerzą artyści* czy *Nigdy tu już nie powrócę*. To krzyże drewniane, sterczące prosto z podestu, spod którego z poziomu podłogi przebłyskuje *Tęcza* Sarkisa. Towarzyszą jej neonowe „ręczne” napisy,

coś w rodzaju haiku. „Ziemia jest niebieska jak pomarańcza”, „Miłość się uśmiecha”, „Jesienna góra” czy „Czarny deszcz”. Kontrapunktem jest instalacja ze stołem i bajecznie kolorowymi margaretkami oraz film z muzyką Mortona Feldmana. To swoisty mikrokosmos, stworzony przez Sarkisa z rozmysłem w odniesieniu do konkretnego miejsca, twórcy i kolekcji Cricoteki. Tytuł wystawy to *Zapraszanie*. Odbywa się ono w dwóch kierunkach. Sarkis zaproszony przez Cricotekę, sam zaprosił jej założyciela i patrona Tadeusza Kantora. Zapraszana jest sztuka ormiańskiego, awangardowego artysty żyjącego od lat 60. XX wieku w Paryżu. Dzieło Kantora skryte w magazynowych kufrach, wyciągnięte przez światła neonów ukazuje się w innym świetle. Sarkisa fascynuje budzenie się tak uspijonych dzieł. Dlatego jego *Tęcza* w Cricotece jest zupełnie czymś innym niż ta sama zygakowata *Tęcza* w Zachęcie.

Wystawa *Zapraszanie. Sarkis-Kantor* w Cricotece – Ośrodku Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora, ul. Nadwiślańska 2-4, czynna od 15 marca do 11 sierpnia 2019. Kuratorzy: Sarkis, Hanna Wróblewska, Natalia Zarzecka, współpraca: Magdalena Ujma. Ekspozycja otwarta od wtorku do niedzieli w godzinach 11.00-19.00, w poniedziałek nieczynna.

Kopalnia Soli w Wieliczce

(na liście UNESCO od 1978 roku)

Tekst i zdjęcie: Jacek Balcewicz

Choć nie urodziłem się w Wieliczce, to kopalnia w mojej świadomości była od zawsze. Jakże inaczej, skoro męscy przodkowie po kądzieli tam pracowali. Dziadek Józef, jak przystało na górnik, trzymał gołębie, i jak głosiła rodzinna legenda, widywał pod ziemią Skarbnika. Wujek Adam w kopiale ołówkowym rysował mi wszystkie używane pod ziemią pompy. A Bogdan – świeżo upieczony inżynier górnik, narzeczony mojej kuzynki, włóczył mnie

kopalni, w której „turystyka” była do tej pory tylko dodatkiem, owo „dziedzictwo” stało się kłopotem, bo kopalnia była normalnym zakładem produkcyjnym, z planami, wskaźnikami i obowiązkiem zapewnienia solanki dla Krakowskich Zakładów Sodowych, czyli Solvayu. A tu tymczasem trzeba było opracować program ją zabezpieczający.

W 1992 roku z poprzeczni „Mina” buchnął niekontrolowany wypływ wody. Przez wiele miesięcy



po mało znanych zakamarkach kopalni. O kopalni wiedziałem, że jest „chwalebą pamiątką pracowitości Polaków”, że pod ziemią odbywają się koncerty i przedstawienia oraz zabawy barbórkowe i bale sylwestrowe, a znakomita solna aura sprawia, że picie wódki nie kończy się kacem.

Wpisanie Kopalni Soli w Wieliczce na pierwszą listę światowego dziedzictwa UNESCO w 1978 roku było miłym gromem z jasnego nieba. Bo oto w kraju galopującej inflacji, niewymienialnej złotówki i permanentnych braków dowiedzieliśmy się, że mamy jeden z cudów współczesnego świata. A tymczasem u dziadków na Lednicy, w typowym wielickim domu z gankiem, sienią i piecem chlebowym pośrodku, za potrzebą chodziło się do wychodka na zewnątrz domu, wodę nosiło się na nosidłach ze studni za zakrętem, a telefon na poczcie był na korbkę. Dla samej

starano się go ujarzmić. Kopalnia była w niebezpieczeństwie, grunt na powierzchni zaczął osiadać, wygięły się tory i przestały jeździć pociągi, klasztorowi i kościołowi Reformatów zaczęło grozić zawalenie. Wtedy bałem się, że nasz cud świata tracimy... Ale cuda się zdarzają – cud został ocalony!

*

OWHC jest międzynarodową organizacją pozarządową łączącą 250 miast z całego świata (czyli ponad 130 milionów mieszkańców!), w których znajdują się obiekty dziedzictwa kulturowego i naturalnego o wyjątkowej wartości dla ludzkości. Siedzibą jest Quebec City, Kanada, a w organizacji są cztery miasta polskie: Kraków, Toruń, Warszawa, Zamość. (red.)

Zabytkowa Kopalnia Srebra w Tarnowskich Górach

(na liście UNESCO od 2017 roku)

Tekst i zdjęcie: Jacek Balcewicz

W 1247 roku wieś Repty otrzymuje z rąk księcia Władysława Opolskiego przywilej górniczy nadający jej prawo do wydobywania rud ołowiu. W połowie XVI wieku Tarnowskie Góry wyrosły na jeden z największych ośrodków wydobywania ołowiu i srebra w Europie. Uważa się, że ołów tarnogórski miał wpływ na ogólne ożywienie gospodarcze całego kontynentu, a z tutejszego srebra bito monety nawet w Chinach. Rewolucja przemysłowa i po-

agencję. Po wojnie powstaje Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej, które najpierw przyczynia się do uruchomienia Sztolni Czarnego Pstrąga – zwanej podziemną Wenecją, a później zostaje oddana Zabytkowa Kopalnia Srebra. Przez pierwsze 33 lata kopalnię zwiedziło blisko 2,5 mln turystów.

Wpis na listę UNESCO był swojego rodzaju dowodem uznania dla kilku pokoleń lokalnych aktywistów świadomych posiadanej wartości, a dla



jawienie się napędu parowego nadaje tutejszym złożom nowe życie. Pionierskie w skali światowej rozwiązanie pozwala przy użyciu maszyny parowej na dostarczanie mieszkańcom wody pogórnicy do celów konsumpcyjnych. Utworzone w 1797 roku wodociągi miejskie pracują do dnia dzisiejszego i nadal zasilają centrum miasta w wodę z wyrobisk korytarzowych nieczynnej już Królewskiej Kopalni Fryderyk. Z początkiem XX wieku na skutek wyczerpania się złóż ustaje wydobywanie.

Gdy w wyniku plebiscytu z 1921 roku oraz III powstania śląskiego Tarnowskie Góry znajdują się w granicach Polski, podziemne dziedzictwo staje się ważnym elementem lokalnej tożsamości.

W 1937 roku Tarnowskie Góry przystępują do Związku Propagandy Turystyki Województwa Śląskiego. W maju 1938 roku ORBIS otwiera tu swoją

zagranicznych gości najwyższą rekomendacją, bez której zapewne nigdy by tu nie trafili.

*

Na liście obiektów światowego dziedzictwa UNESCO w Polsce jest 15 miejsc. Wśród nich są m.in. zespoły staromiejskie Krakowa, Zamościa, Warszawy, Torunia, Zamek Krzyżacki w Malborku, Kopalnie Soli w Wieliczce i Bochni, Kalwaria Zebrzydowska i jej park pielgrzymkowy, Kościoły Pokoju w Jaworze i Świdnicy na Dolnym Śląsku, drewniane kościoły Małopolski i Podkarpacia, kopalnia w Tarnowskich Górach oraz obóz zagłady Auschwitz-Birkenau.

Większość z tych obiektów można zobaczyć na wystawie fotosów Jacka Balcewicza – a do tego mnóstwo obiektów z całego świata!

Drugi Ostatni Mohikanin

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Andrzej Głuc

Wtorek

W I akcie *Miłości na Krymie* Sławomira Mrożka znudzony pięknym, pustym dniem Aleksander Iwanowicz Czelcow opowiada sennemu towarzystwu swe spotkanie z erotycznym zachwytem ludu rosyjskiego na kolejowym dworcu. Peron więc, tłum podróżnych, wagony i parowóz już w gotowości, wystarczy zwolnić sprzęgło. „Widzę – powiada Czelcow – dwaj chłopcy stoją przed loko-

zowy czciciel wolności twórczej? Kozikiem grzybiarza zarznąłby siebie czy dyrektora? A może w pierw dyrektora, a następnie siebie? Jedno pewne. W roku 1993 Mrozek odwiedził Kraków. Gościł czas dłuższy, po czym wystosował dziesięciopunktowe podanie do nadwiślańskiego teatru, listę przykazań, którą można by zatytułować: „Dziękuję za gmeranie”.

Piątek

Jerzy Jarocki miał w Starym Teatrze reżyserować *Miłość na Krymie*. Mrozek, zorientowany się, iż sztukę nadwiślańskiej reżyserii w istocie jego Czelcow zdefiniował, czyli że publika – jak tamci chłopcy ruscy, co pierwszy raz na ciuchcie się gapili – lubi *tiochnikę* seksu stalowego, więc artystyczna *tiochnika* spiżowych piewców wolności twórczej na tym polega, iż reżyserskie ich *zieliezo* z ułańskim rozmachem *jebiot* absolutnie każdy wystawiany tekst oryginalny – po prostu odmówił udziału swojej *Miłości na Krymie* w tym ociężałym łomocie bez miłości. Ułożył podanie, w którym stanowczo prosił, aby: nie likwidować kurtyny, niczego w tekście nie skreślać ani niczego doń nie dopisywać, zachować porządek opowieści i wierność sportretowanej w didaskaliach scenografii, nie pstrzyć całosci muzyką własną, zachować zgodność wieku i płci wykonawców z wiekiem i płcią postaci, mieć baczenie, by jedną rolę jeden aktor grał, nie pięciu, wystawić całość tylko na scenie, a nie na widowni, oraz zachować przerwy pomiędzy trzema aktami. Słowem – poprosił teatr o teatr. Cóż to się nie działo wtedy nad Wisłą! Jakie dąsy kwitły, jakie protesty śmięgały, jakie piski męczyły powietrze, że Mrozek oto wolność twórczą dławi...! Wtedy? Rok, góra dwa lata temu, w pogaduszce ze mną, kandydaci na bezkompromisowych reżyserów wypływali na Mrożka piski porównywalnie histeryczne. Nic się więc nie zmieniło? Wręcz przeciwnie! *Tiochnika* rozkwitła, *jebiot* jest już *JEBIOT*, a ukontentowanie muzyków wręcz frenetyczne się stało. I dlatego Annie Polony wyczerpała się dobroduszość.

Niedziela

W 1993 roku Mrozek proponował dla swych przykazań dwa tytuły do wyboru. *Autor zwarfiował* albo *Ostatni Mohikanin*. Boga chwalić, nie okazał się tym, który światło gasi. Oto

Mrozek proponował dla swych przykazań dwa tytuły do wyboru. *Autor zwarfiował* albo *Ostatni Mohikanin*. Boga chwalić, nie okazał się tym, który światło gasi. Oto Drugim Ostatnim Mohikaninem jest Polony. Po spotkaniu z którymś z teatralnych dzieł ostatnich czasów, rzekła: Już dość! Dość niepoczytalnych cudów na kiju.

motywą, pierwszy raz lokomotywę widzieli. A łoki w lokomotywie pracują, para bucha, chłopcy stoją i stoją, patrzą i patrzą. Wreszcie powiada jeden muzyk do drugiego: »Wot, *tiochnika*, *zieliezo jebiot zieliezo*«.

Czwartek

Gdyby dziś młody reżyser, jeden z tych bezkompromisowych artystów sceny, w teatrze X wyreżyserował dajmy na to jakiegoś Szekspira i po pół roku od premiery tajnie odwiedził teatr X, by sprawdzić, jak dzielnie żyje dzieło jego wspaniałe, i gdyby zobaczył, że oto inni aktorzy grają, w innych kostiumach, z towarzyszeniem innej muzyki oraz w zmienionych dekoracjach, a nade wszystko że to już właściwie nie jest Szekspir, jeno stylistyczny bigos z Zapolskiej, Rydla oraz Witkacego – co by uczynił? Jak by się zachował ten spiżowy piewca wolności twórczej wobec efektów totalnego gmerania w jego dziele oryginalnym, którego to gmerania dokonał dyrektor teatru X, bliźniaczo spi-



Józef Opalski



Anna Polony i Paulina Puślednik

Drugim Ostatnim Mohikaninem jest Polony. Po spotkaniu oko w oko, a zwłaszcza ucho w ucho, z którymś z teatralnych dzieł ostatnich czasów, rzekła: Już dość! Dość niepoczytalnych cudów na kiju, dość robienia na scenie wariata z tata, dość różnicą tępą reżyserską piłą starych tekstów, dopisywania, przestawiania i pstrzenia cudzych zdań kuriozalnymi krajobrazami inscenizacyjnymi! Dość gmerania w oryginałach! Wracamy do słów! Tak, lecz wracamy wyłącznie do wszystkich słów, nie do co dziesiątego! Wracamy do opowieści całej i przyjmujemy ją całą, bez szemrania, mędrkowania albo sięgamy po opowieść

inną, lecz również tylko całą! Zwyczajnie: albo Szekspir albo absolutny brak Szekspira, czyli nic! Wyłącznie Szekspir cały, a nie pół Szekspira, ćwierć Szekspira tudzież Szekspira jedna piąta oblepiona plasteliną radosnej literackiej twórczości reżysera! Amen w pacierzu!

Środa

I wraca. Tyleż sama Polony, co Józef Opalski, który ideę powrotu do źródła chwycił i raz w miesiącu na tyciej scenie w podziemiach aktorskiego klubu Łoża przy Rynku Głównym inscenizuje jakąś starą opowieść teatralną. Inscenizuje bez inscenizowania, gdyż sce-

nografia, kostiumy, sztuczne wąsy, makijaże, migające reflektory, szalejąca w głośnikach muzyka oraz inne odpustowe atrakcje nie są mu potrzebne. Inscenizuje – słowa same. Inscenizuje czytanie na scenie zawsze prawie zupełnie pustej. Inscenizuje istotę teatru. Na przykład – zdania *Końcówki* Samuela Becketta. A po nich – falujące, samotne słowa impresji Marguerite Duras *Savannah Bay*.

Piątek

W którymś z listów do reżysera *Końcówki* Beckett wyznaje, że nie bierze odpowiedzialności za całe to interpretacyjno-filozoficz-

no-metafizyczne zamieszanie, co je krytycy oraz inni analitycy sprokurowali. On bierze odpowiedzialność jedynie za kilka podstawowych dźwięków. Brzmienia bólu, tony lęku, dźwięki pamięci zawsze ułomnej, liche szepoty rezygnacji – ta zawrotna pajęczyna *Końcówki* przez godzinę i pół falowała nad sceną Łoży dojmująco czysto. Krzysztof Orzechowski jako Hamm, jako słowa Hamma, Andrzej Mrowiec w roli, a raczej w zdaniach Clova, oraz Tomasz Wysocki i Lidia Bogaczówna, ulepieni z biednego narzecza Nagga i Nell. Do tego fotel inwalidzki, biała chusta, czarne okulary, gwizdek i szlafmyca. Tyle, nic więcej, nic prócz świata oryginału. Beckett w kojącej pustce, na powrót w swoich słowach, w bez mała wszystkich słowach, także w zdaniach didaskaliów czytanych przez Opalskiego. I taka sama przygoda spotkała Duras. Identyczny powrót do siebie przytrafił się jej w Łoży. Powtórzył się ażurowy wehikuł *Savannah Bay*. W słowach siwowłosej Madeleine, przez godzinę przywoływanych przez Polony, i w przez godzinę przywoływanych przez Paulinę Puślednik strzępach zdań *Młodej Kobiety* – mającym delikatnie szkicowany przez Duras bladym ołówkiem krajobraz ułomnego wspomnienia niepotrafiącego odzyskać dla Madeleine czasu przeszłego dokonanego, tamtej ciemnej skały, tamtej śmierci młodej kobiety, tamtej miłości, co szans nie miała, tamtej dalekiej realności, cierpkiego smaku tamtej straty... Zostawmy szczegóły, nie wyjaśniamy tej enigmatyczności. Nie konkrety fabularne są ważne. W *Savannah Bay* ważna jest cierpka bezsilność pamięci, którą stać jedynie na lepienie marnej iluzji przeszłości. Właśnie ta cierpkość, cała cierpkość, brzmiała w Łoży bezbłędnie. I coś jeszcze ważne jest. Przypomnienie.

Niedziela

Niegdyś gest Mrożka i dzisiejszy Polony – przypominają, że istotą teatru, powiedzmy, pierwszego, teatru Sofoklesów, Moliérów, Szekspirów oraz innych Czechowów jest opowieść, zawsze pełna opowieść. Oraz że sztuka reżyserii to tak naprawdę sztuka reżyserowania starych intonacji, ożywianie starych fabuł języka, układania na nowo przegód starych słów, lecz w miarę możliwości – wszystkich słów, wszystkich i w oryginalnej kolejności. A cała reszta tejże sztuki, to tyleż sztuka, co, jak uczył Andrzej Wajda, upiornie monotony mozół przypominający piłowanie laubzegą. I troska, by laubzega, ku rozpaczce muzyków – omijała opowieść samą.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Jestem trudnym człowiekiem

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Zośka Papużanka: Ludzie są różni i w tej różności mnie interesują, a jednocześnie ich najprostsze wady potrafią być irytujące.

Elżbieta Wojnarowska: Co dla Pani znaczy być trudnym człowiekiem?

Zośka Papużanka: Ja jestem trudna. Sama dla siebie jestem trudna. Wymagam od siebie wiele, nigdy nie jestem na pół gwizdka, wszystko robię ze stuprocentowym zaangażowaniem. Nie odpuszczam. Chociaż się uwielbiam, trudno mi ze sobą samą. Często sobie pluję w brodę, że za szybko coś powiedziałam, za szybko oceniłam.

A kontakty z innymi ludźmi są dla Pani trudne?

Oczywiście. Piękne i trudne. Ludzi, tak jak samą siebie, uwielbiam i nie cierpię równocześnie. Myślę, że są piękni, wzniośli, malują obrazy, adoptują dzieci, ustępują sobie miejsca w tramwajach, a potem wystarczy mi jakiś klient, który napluje na chodnik albo zrobi komuś krzywdę, i znowu myślę źle o ludzkości. Ludzie są różni i w tej różności mnie interesują, a jednocześnie ich najprostsze wady potrafią być irytujące.

Przyjaźnie powinny być ważne?

Są ważne. Przyjaciele to ludzie wybrani, moi ludzie, a ja jestem ich człowiekiem. Tu nie chodzi o bezwa-

runkową akceptację, ale o rodzaj silnej, wytrzymałej więzi, której czasem nie rozumiem.

Zawieranie, utrzymywanie znajomości, od czego u Pani zależy?

Czasem od pierwszego słowa, nie spojrzenia, słowa; słucham, co ludzie mówią i jak, i już wiem, czy będę miała ochotę znów się z nimi spotkać. Nie umiem utrzymywać znajomości na siłę; czyta się we mnie, niestety, jak w książce i kiedy kogoś nie lubię, ten ktoś to wie. Nie umiem się schować.

Lubi Pani obserwować ludzi? Na co zwraca Pani wtedy uwagę?

Obserwowanie to za mało, ja się wgapiam, podglądam. Zwracam uwagę na to, jak ludzie wyglądają, jak się ubierają – uważam, że można oceniać po wyglądzie; można doskonale zauważyć i ocenić to, czy ktoś sam siebie lubi. Ludzie, którzy siebie nie lubią, nie dbają o siebie, przynudzają i robią się bardzo wcześnie starzy.

Interesuje Panią, co mają do powiedzenia?

To najbardziej. Uwaga, podsłuchuję w tramwajach, w urzędach, w sklepie. Stoję i udaję, że wybieram



Zośka Papużanka – pisarka, teatrolożka, nauczycielka. Ukończyła teatrologię, obroniła doktorat na temat recepcji dramatów Federica Garcii Lorki. Publikowała w „Tygodniku Powszechnym”, „Radarze” i „Nowych Książkach”. Píše piosenki dla Teatru Lal-

ki i Aktora Parawan oraz krakowskich kabaretów. Pracuje w szkole jako nauczycielka języka polskiego. Zadebiutowała w 2012 roku głośną *Szopką*, za którą nominowana była do Nagrody Nike i Paszportów „Polityki”.

tomidory, a tak naprawdę łowię kłótnię małżeńską. Bardzo się zapalam w dyskusjach nie dlatego, że staram się mojego rozmówcę przekonać do mojego punktu widzenia – interesuje mnie dyskusja sama w sobie, proces przrzucania się zdaniem.

Pisarze często są swoistymi magnetofonami, rejestrują to, co słyszą, i potem wiele przemycają do swoich powieści. Pani też tak robi? Ile jest autentycznych rzeczy w Pani książkach?

Nie sądzę, żeby to miało znaczenie. Człowiek jest całością, ja jestem całością, literatura jest całością posklejaną z całości. Nie kontroluję, skąd mam to, co piszę. Przyszło. Cieszę się z tego, że przyszło, i używam. Nie rozumiem, co to znaczy „autentyczne”. Literatura też jest autentyczna, jest autentycznie literaturą.

Lubi Pani prowokacje?

Tak. Ale cudze. Nigdy niczego nie zrobiłam z myślą, żeby sprowokować.

Skąd taka fryzura (skądinąd bardzo twarzowa)? Aby się wyróżniać?

Mam świadomość, że się wyróżniam, ale nic specjalnego w tym celu nie robię. Naprawdę nie lubię szarych ciuchów i karmelowych płaszczków, lubię zieleń i czerwień. Nie podobają mi się długie, proste włosy, źle w nich wyglądam. Nic wielkiego nie trzeba robić, żeby się wyróżniać w nudnym tłumie. Ubieram się dla siebie, mój irokez jest dla mnie, pasuje do mnie, a co o nim myślą inni, to nie należy do moich problemów.

Pani proza (wielokrotnie nagradzana, zasłużenie) jest mieszaniną groteskowego stylu Gombrowicza i liryzmu, bardzo zresztą dynamicznego, język narracji specyficzny, niepodrabialny. To dojrzała twórczość, która dość późno się objawiła. Jak do tego doszło? Dlaczego zaczęła Pani pisać?

Dłaczego późno? Umberto Eco zaczął w późniejszym wieku. Zajmowałam się wcześniej innymi sprawami, potem przyszedł czas na pisanie, co będzie kiedyś – nie wiem. Skoro Pani uważa ten styl za dojrzały, to może właśnie dlatego. Dojrzałość w różnym wieku do człowieka przychodzi.

W Pani książkach jest wiele niezgody na zastany świat, jest to rodzaj swoistego buntu. Czego najbardziej Pani nie akceptuje?

Hipokryzji. Kłamstwa. Small-talków. Cyrku.

Prezentuje Pani w swoich opisach prozy naszego życia nadspodziewaną emocjonalność. Tymczasem w rozmowie prezentuje Pani chłodne zdystansowanie. Jaka naprawdę jest Zośka Papużanka?

Tego nie wiem. Pewnie czasem bardzo emocjonalna, czasem zdystansowana. To zależy od relacji z człowiekiem. Zdystansowania się nauczyłam, nie każdy chce i rozumie tę „nadspodziewaną emocjonalność”, ale chyba jestem bardziej emocjonalna niż zdystansowana. Proszę mi się nie dziwić, że się nie rzucam na szyję ani nie odkrywam wszystkich kart – jest Pani dla mnie obcym człowiekiem. Udzielam wielu wywiadów i ludzie wiele chcą się o mnie dowiedzieć, a ja nie chcę ich zawieść, a jednocześnie muszę jak najwięcej siebie zostawić dla siebie. To moje – po prostu. Jestem emocjonalna, ale nie ekshibicjonistyczna. Badam.

Co Pani lubi? Czym się potrafi zachwycić?

Lubię drzewa. Drzewa i motyle mnie zachwycają. Malarstwo mnie zachwyca, zazdroścę malarzom. **Co Panią motywuje do działania? A co zniechęca?**

Motywuje mnie pochwała. Jestem łasa na cukierki, pochwalona – zrobię więcej. A zniechęca mnie, gdy ktoś koło mnie jest zniechęcony.

Jak odnajduje się Pani w pracy z młodzieżą? Bierne realizuje Pani program czy czynnie wpływa na młode umysły?

Nie umiem udawać, niestety też po mnie widać, czy program nauczania i jakaś lektura dają mi satysfakcję. Dlatego staram się pokazać uczniom literaturę współczesną na dodatkowych zajęciach, oglądamy wiele filmów, chodzimy na wystawy. Dziecko, młody człowiek jest jak pojemny worek – trzeba wiele wrzucić do środka, żeby ten człowiek potem umiał wśród tych rzeczy znaleźć to, co jest jego, co mu najbliższe – jak się mało da, nie będzie z czego wyjmować.

A Kraków? Jak wiele znaczy dla Pani to miasto?

Urodziłam się i całe życie spędziłam w Krakowie. Tu dorastałam, studiowałam, tu mieszkam. Bardzo dużo podróżuję – i wracam. Czasem nie lubię tego Krakowa, smogu, brudu – ale wracam. Bardzo wiele dla mnie znaczy. Tak, w sprawie Krakowa jestem sentymentalna jak diabli.

Ale myśli Pani przenosinach. Dlaczego? Odgrywają tu rolę sentymenty z dzieciństwa?

Jeszcze się nie przenoszę. Może za lat kilka, ale jeśli, to blisko. Kocham miasto, ale też już chciałabym mieszkać na wsi. I to nie są sentymenty z dzieciństwa. To jest właśnie pragnienie wieku późnego, woła mnie Czarnolas.

Jak traktuje Pani kobiecość? Czym jest dla Pani? Czy potrafiłaby Pani walczyć o swoje prawa lub innych kobiet?

Kobiecość to dla mnie przede wszystkim wolność i różnorodność. Nie mam o niej jakiegos myślenia wspólnotowego, chyba najbardziej wspólnotowa jest, kiedy każda kobieta może sobie ją realizować, jak chce. Tak, umiem walczyć i nigdy nie siedzę cicho, gdy jakiś facet obraża kobietę w miejscu publicznym, wiele razy się postawiłam. Ale nie poszłabym na pochód, nie lubię tłumy.

Miłość, macierzyństwo, czuje się Pani kobietą spełnioną?

Tak. Bardzo. Mam wspaiałego męża, dwóch świetnych, mądrych synów, mam szczęście po prostu. Bo zasługi w tym mojej nie ma żadnej.

Najbliższe plany?

Nie mam żadnych planów. Mogę Pani powiedzieć, co będę robiła w tym tygodniu, jakie lekcje mam do przygotowania, co jutro na obiad, jakie ciasto upiekę w sobotę i na co pójdę do kina. To jest takie niekontrolowane *carpe diem*. Nie z wielką filozofią – po prostu nie mam czasu na plany. Jeśli czegoś chcę, to nie planuję, tylko realizuję, a jeśli nie mogę zrealizować, to nie realizuję. Resztę mi życie przynosi. A ja mogę tylko podziękować.



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

Stare Miasto w Zamościu

(na liście UNESCO od 1992 roku)

Tekst i zdjęcie: Jacek Balcewicz

W Zamościu pojawiłem się po raz pierwszy, zanim został wpisany na listę UNESCO. Była druga połowa lat 80. XX wieku. Jako publicysta lotniczy przyleciałem na pokładzie wojskowego śmigłowca Mi-8. Wystartowaliśmy z Bemowa, by po godzinie lotu niemal spaść z nieba na lotnisku Ośrodka Szkolenia Techników Lotniczych. Lecieliśmy nisko, zaglądając za płoty bogatych podwarszawskich rezydencji, a później, im bliżej

ży ratuszowej na trzy strony. Dlaczego na trzy, a nie na cztery strony? Bo założyciel i właściciel miasta nie lubił... i tu zdania są podzielone... Krakowa czy też władcy zasiadającego na tronie w Krakowie, który już wtedy szykował się do spławienia stolicy do Warszawy. Zamość przetrwał w nienaganej formie do czasów nam współczesnych. Tak jak to wymyślił pochodzący z Padwy, a zmarły w Zamościu architekt Bernardo Morano.



ściany wschodniej, znacznie biedniejszych gospodarstw rolnych. W pamięci zostały mi dwa obrazy. Pierwszy to start śmigłowca, drugi to Wielki Rynek wraz z Ratuszem i zamasytymi dwuskrzydłowymi schodami. To był inny świat, któremu towarzyszył wschodni zaśpiew napotkanych ludzi. Już wtedy wiedziałem, że to miejsce jest niezwykle, jakby z innego wymiaru. Kolorowe i niezwykle proporcjonalne. Średniowieczne miasta powstawały na ogół chaotycznie, pozostawiając swój rozwój i kształt losowi. Tu 38-letni Jan Zamojski postanowił zbudować prywatne miasto od zera, na „surowym korzeniu”, jak to wtedy nazywano. U zbiegu szlaków handlowych, w dającym się łatwo ufortyfikować terenie, z arowym kwadratowym rynkiem głównym i dwoma pomocniczymi: solnym i wodnym oraz hejnałem trąbionym z 52-metrowej wie-

Usiadłem w oczekiwaniu na hejnał przy stoliku. Zamówiłem pieróg biłgorajski nadziewany kaszą gryczaną z drobinami słoniny i boczku i polany prawdziwym zsiadłym mlekiem...

*

Tematem krakowskiej konferencji jest „Dziedzictwo i turystyka”, a tezy zostały przygotowane pod kierunkiem prof. Jacka Purchli, przewodniczącego Polskiej Komisji Narodowej UNESCO, i Petera Debrine'a z Programu Zrównoważonej Turystyki w Centrum Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Organizatorem programu jest MCK, a finansowany jest ze środków i na zlecenie Urzędu Miasta Krakowa. (red.)

Kościół Pokoju w Świdnicy

(na liście UNESCO od 2001 roku)

Tekst i zdjęcie: Jacek Balcewicz

Urodziłem się na Dolnym Śląsku, czyli Ziemiach Odzyskanych, jako dziecko sojuszu robotniczo-chłopskiego. Należę do pokolenia, z którym Armia Radziecka była od dziecka. Dosłownie, nie w przenośni. Dowództwo Północnej Grupy Wojsk Radzieckich przenosiło się cyklicznie z Legnicy do Świdnicy i na odwrót.

Jako małomiasteczkowe dzieci ciekawi byliśmy świata. Uczestniczyliśmy w konkursach krajo-

Nikt mi nie powiedział. Nigdzie nie przeczytałem. Wkrótce na krakowski Kazimierz przyjechał z Mediolanu Flavio Pagani, włoski fotograf turystyczny. Człowiek, który wszędzie był i wszystko widział. Wysłałem go tam – wrócił zachwycony i nie chciał już fotografować Kazimierza.

Kościół Pokoju w Jaworze i Świdnicy powstały w II połowie XVII wieku w wyniku pokoju westfalskiego kończącego wojnę trzydziestoletnią. Są



znawczych, turniejach i olimpiadach. Wożono nas na wycieczki do Opery we Wrocławiu i do Bolesławca, gdzie było muzeum generała Kutuzowa – uważanego za pogromcę Napoleona, a przede wszystkim do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Gross Rosen w Rogoźnicy... Ale o protestanckich Kościołach Pokoju w Jaworze i Świdnicy dowiedziałem się dopiero w XXI wieku, gdy zostały wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Kościół w Jaworze odwiedziłem dość szybko, gdy wracałem ze zdjęć w kopalniach miedzi KGHM. Wystarczyło tylko zjechać kawałek z autostrady. To było zaskoczenie i szok. Nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że takie arcydzieło architektury i budownictwa znajdowało się w mieście, do którego po szkole dla relaksu jeździłem na rowerze. Ono tu było od wieków, a ja o nim nic nie wiedziałem.

największymi drewnianymi budowlami sakralnymi w Europie. Mogły powstać poza murami miasta, wzniesione z nietrwałych, a więc łatwopalnych materiałów, w ciągu jednego roku, wyłącznie z pieniędzy wyłożonych przez protestantów. Z założenia miały szybko ulec zniszczeniu. Na przekór przetrwały.

*

Pisaliśmy już o fotosach architektonicznych Jacka Balcewicza: „... wszystko zawsze zakomponowane doskonale, ze szczególną predylekcją Jacka do linii symetrycznych zawartych w kadrze (...) – uderza na fotografii pięknem, które niekoniecznie, drogi wędrowcze czy turysto, dostrzeżesz sam na miejscu”.

Na szczęście dzisiaj i jeszcze blisko dwa miesiące w CORT będzie można oglądać fotosy z tych miejsc. (red.)

Z Wajdą pod powiekami

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

„Wielki mąż!
Wielki, bo wam z oczu zszedł!”
Wyspiański, *Wesele*

Jest czerwiec. I wtedy był czerwiec. 30 lat temu właśnie w czerwcu odbyło się to, co niemożliwe: pierwsze wolne wybory do polskiego parlamentu. Po tysiącu rozmów, po porozumieniach, po „Okrągłym stole”, nowi ludzie, nowy kraj, niedowierzanie, że to już. Bez rozlewu krwi, z miłością. Nigdy

Ale wtedy, w lipcu był festiwal filmowy w Moskwie. Jak co dwa lata. Gigantyczna impreza, przez 60 wcześniejszych lat napuszona, propagandowa, zorganizowana z pewnym nadmiarem uwagi wobec gości. Ale w tamtym roku festiwal był nagle przyciszony, jakby organizatorzy chcieli zobaczyć, co bę-

pan czuje, że coś od człowieka zależy, że jego głos się liczy? Do dziś pamiętam tamtą napchaną, głównie Rosjanami salę festiwalową. Do dziś pamiętam w jakim żywiole i ferworze erudycyjnym był Wajda. Cierpliwie wyjaśniał. Promieniał. My wszyscy też staliśmy się wtedy bardziej atrakcyjni. Rosjanie ściskali nam ręce, mówili: jesteście z wami. Staliśmy się przykładem. A *Lawa*, nasza stara trzecia część *Dziadów* stała się dla Rosjan najważniejszym filmem politycznym.

*

Jest czerwiec. Dwa miesiące temu w Muzeum Narodowym w Krakowie otwarto gigantyczną wystawę poświęconą sztuce Andrzeja Wajdy. Pół Warszawy przyjechało na otwarcie, nie tylko „cały Kraków”. Kto żyw – tu był. I kto jeszcze by chciał, może przyje-

ogromnego, brawurowo wykorzystanego talentu – i to widać na wystawie. Nie sposób nie pomyśleć, że nawet, jeśli towarzyszyło się Wajdzie w jego bardzo długoletniej drodze filmowej i teatralnej, nawet, gdy było się wiernym odbiorcą jego sztuki lub „fanem” jego nieprzerwanej i czujnej obecności w naszym życiu kulturalnym i społecznym, nawet, gdy „podglądało się” go na planach filmowych, w rozterkach scenariuszowych, w rozmowach z aktorami, nawet wtedy, patrząc na tę wystawę, trudno było nie powiedzieć: to było aż tak? Aż tak wiele, aż tak doskonale, aż tak wszechogarniająco? Aż tak ... pracownicy?

Ileż to razy mógł Wajda powiedzieć o sobie, jak niegdyś Fellini: „Jestem kinem”. „Jestem polskim kinem” – na pewno by dodał. A jeszcze: „Jestem, bo



już potem słowo „razem” nie było tak mocne, tak świadome, jak wtedy. Dziś nie ma słowa „razem”, jest słowo „osobno”. Ci, co nie brali w tym udziału mówią dzisiaj „częściowo wolne”. Jest asekuracja, jest szukanie usprawiedliwienia (?) za to, że kiedyś było się blisko. Bo może tak naprawdę „myśmy wszystko zapomnieli”?

Moje najmocniejsze wspomnienie tamtej aury, to lipiec. Oczywiście z Wajdą w roli głównej. Po czerwcowych wyborach został senatorem. Startował z Suwałk, bo tam się urodził, w wojskowym obozie, gdzie ojciec, zawodowy oficer stacjonował. Ojciec potem wyjedzie na wojnę i zostanie zamordowany w Starobielsku. A Suwałki będą zawsze pamiętać o Wajdzie. I on o nich też. Nawet na otwarciu krakowskiej wystawy, o której poniżej, byli oficjalni goście z Suwałk.

dzie teraz: po „głastności”, po pierestrojce. Wtedy pierwszy raz od czasu wybuchu naszej prawdziwej Solidarności zaproszono na festiwal dużą, polską delegację. Będą nas tu wszystkich oglądać z bliska, mówił mi Tadeusz Konwicki. Zachwycony był jednak, bo mógł właśnie tu, „gdzie należy” wreszcie pokazać swoją *Lawę*. Wajda był szefem Jury festiwalu. I było z nim spotkanie. Zawsze bywają na festiwalach spotkania z jurorami. Ale tamto było nieporównywalne z żadnym innym: nikt nie pytał Wajdy o filmy, ani o inne wrażenia artystyczne. Wszyscy rozmawiali z nim, jako z senatorem. Do dziś pamiętam najważniejsze z tamtych pytań. Może proste, ale tak autentyczne, że wzruszające: jak to się robi, żeby mieć wolny sejm, jak to się robi, żeby brać udział w obradach? Czy to się czuje, że jest się senatorem? Czy

chać. Wystawa piękna i obłożona będzie u nas trwała do września, a potem pojedzie „w świat”, by po pewnym czasie wrócić i osiąść tu na stałe. W mieście Wajdy, z Wajdą w tle. Tu, gdzie chodził, tu, gdzie był, tu, gdzie jest na zawsze. Jeszcze jeden znak wiecznej przynależności tego artysty do naszego miasta.

Ale jest się czym chwalić, bo rzecz wymyślona została z miłością i zrealizowana ze znajomością rzeczy. Jeszcze w każdej chwili można tam iść i sprawdzić. Temat, aranżacja, umiejętność specyficznego uporządkowania wielkiego materiału wizualnego i dokumentacyjnego, który pozostał po naszym największym artyście kina i teatru – musiała oszołomić. I tak powinno być, ponieważ wielość dokonań artystycznych, którymi obdzielić by można przynajmniej kilku twórców, była i jest dorobkiem jednego,

wy jesteście i towarzyszyście mi zawsze”. Tak to odczuwał: czyż nie zwierzał się wielokrotnie, że może działać, bo czuje oddech widowni na plecach? Czyż nie powiedział w Ameryce, gdy rzucano mu świat do stóp, że on rozumie tylko swoją widownię, historię swojego kraju, marzenia swojego narodu, więc może budować swoją sztukę tylko z nas? Właśnie to dawało mu prawo do wszechstronnej obecności w naszym życiu. Obecności artystycznej i pozartystycznej. Nie tylko krakowskiej, ale polskiej, europejskiej, światowej. Nie ma i nigdy nie było przesady w takim stwierdzeniu, a na wystawie jest jasny dowód na to, że trwać „przy swoich” można też przy pomocy obcej literatury (Dostojewski, Bułhakow), lub obcych krajobrazów (*Danton*, *Powiatowa Lady Makbet*, *Piłat i inni*), bo należymy od zawsze do wielkiej kultu-

ry różnorodności, do wielkiego dziedzictwa „myśli” i „obrazu” naszego czasu. I jest jeszcze coś: dowód na to, że prawdziwy uniwersalizm powstaje wtedy, gdy artysta potrafi blisko i intensywnie patrzeć na swój „mały” wycinek świata.

*

W wielkich działaniach pewnie zawsze najtrudniej jest znaleźć syntezę. Tu w muzeum, Wajda okazał się przeogromnie intensywny i serdecznie znajomy. Płóciennymi ścianami „korytarzy”, wymyślonych, jako droga wiodąca gości po wystawie okazały się gigantycznymi ekranami, pełnymi idących bez przerwy filmów Andrzeja Wajdy. Różnych filmów, wszystkich filmów, ich fragmentów, niezapomnianych ujęć, słów, które znamy, pamiętnych postaci, idących korytarzami obok nas, w tym wielkim pochodzie obec-

– rysunki, a raczej szkice reżysera, powstające „na szybko”, równocześnie z Jego przygotowywaniem się do realizacji. Szkice twarzy, które Wajdę zainteresowały w momencie, gdy wyobraźnia już szukała wyrazu przyszłych postaci, szkice sytuacji, linie pokazujące dynamikę danej sceny i zdania, w których są wątpliwości, wahania, niepewność. To prawdziwie fascynujące. Pamiętam, że przez długie lata, Wajda chronił te swoje szkicowniki przed „obcymi” oczami. Nic dziwnego, w dużej mierze jest tu zawarty proces twórczy. Intymny. Prywatny. Własny.

*

Zawsze najważniejszą wartością była sama obecność Wajdy: w naszym mieście, w naszym świecie, w sprawach, które są i były dla naszego kraju najważniejsze. Ale Wajda był zawsze kronikarzem spe-



ności wszystkich drogich, bliskich i znanych. I niech to będzie pochwałą aranżacji tego świata, poświęconego artyście gigantycznemu. Pomysł na takiego Wajdę miał krakowski filmoznawca, Rafał Syska, a kompozycją labiryntów, które są ekranami zajął się Tomasz Wójcik. Układ filmów na tej wystawie nie jest chronologiczny. Ustawiony jest raczej tematami. Gdyby ktoś nie pamiętał, natychmiast może zobaczyć, jakie sprawy, jakie tematy, jakie postaci interesowały Wajdę w jego twórczej drodze. Ale te tematy i tytuły należą do porządku wyższego, jak w księdze życia, wszystko tu jest i powraca. Oprócz idących bez przerwy filmów – są rozłożone obok, w gablotach, dokumenty im przynależne, są fragmenty scenariuszy, listy, zdjęcia, fascynacje malarskie i są – a to jest chyba najciekawsze i najrzadziej pokazywane

cyfrycznym, bo nie tyle rejestrującym wydarzenia, ile raczej zbiorową świadomość, poczucie wspólnoty, naszą obecność w historii i w sztuce. Ta wystawa pokazuje, że ta obecność trwa nadal. Sztuka Wajdy jest obecna i aktualna. I wciąż jest naszym dziedzictwem i naszą kulturą. To jest poziom na jego ocenę. Ale ci, którym zdarzało się oceniać go doraźnie, małostkowo, „swoją miarą”, politycznie, czy „partyjnie” – mogą spać spokojnie: „Wielki mąż ...”, / Wielki, bo wam z oczu zszedł”.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Charles OLIVIERI-MUNROE Dyrektor Artystyczny

Gabriel CHMURA I Dyrygent Gościenny

ANTONI WIT Dyrygent Honorowy

KONCERTY SYMFONICZNE

ORKIESTRA FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Charles
OLIVIERI-MUNROE dyrygent

Cyprien **KATSARIS** fortepian

w programie:

Johann Sebastian BACH – Koncert fortepianowy f-moll BWV 1056

Franz SCHUBERT – Fantazja C-dur Wanderer-Fantasia

Richard STRAUSS – Tako rzecze Zaratustra

7.06.2019
piątek, godz. 19.30

8.06.2019
sobota, godz. 18.00

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL

ZAKOŃCZENIE 74. SEZONU ARTYSTYCZNEGO

GUSTAV MAHLER III Symfonia d-moll



ORKIESTRA, CHÓR ŻEŃSKI I CHÓR
CHŁOPIĘCY FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Charles **OLIVIERI-MUNROE** – dyrygent

Agnieszka **REHLIS** – mezzosopran

14.06.2019
piątek, godz. 19.30

15.06.2019
sobota, godz. 18.00

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL



FILHARMONIA
im. Karola Szymanowskiego
w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO



MAŁOPOLSKA

Mądrość obywatelska

Tekst: Jan Pieszczachowicz

Powołując medal „Za mądrość obywatelską”, mieliśmy na myśli ludzi cieszących się wielkim autorytetem etycznym i właśnie obywatelskim, prezentujących swoje postawy i poglądy publicznie i odważnie.

W 2006 roku zaproponowałem zespołowi redakcyjnemu miesięcznika „Kraków”, byśmy przyznawali corocznie medal „Za mądrość obywatelską”. Potrzeba takiej nagrody wynikała z pogarszającej się sytuacji w życiu publicznym, zagrożenia demokracji, lekceważenia konstytucji i tego, co Stefan Żeromski przed laty nazwał „partyjniactwem” – zdominowaniem polskiego życia przez poglądy i interesy partyjne, co spychało pierwiastek obywatelski. Obserwowało się odsuwanie autorytetów symbolizujących mądrość, wiedzę, naukę, autentyczne osiągnięcia w różnych dziedzinach zawodowych.

Niestety, sporo polskich intelektualistów i przedstawicieli kół inteligentnych przyjęło postawę „moja chata z kraju”, unikając angażowania się w obronę praworządności i demokracji, tym bardziej zatem trzeba cenić tych, którzy mają odwagę w ten czy inny sposób zaznaczyć swoją obywatelską postawę ludzi światłych, świadomych swojego obowiązku. Koła polityczne, liczące na głupotę niestety niemałej części Polaków, napotykały na opór, który usiłują lekceważyć, ale mają z tym rosnący kłopot, oby coraz większy. Populistyczno-prawicowe sztuczki cynicznych przywódców niegodne są narodu, który tyle przeszedł i umiał obronić swoją egzystencję. Ludzie ci biorą na siebie poważną odpowiedzialność, usiłując deprawować umysły i sumienia mas w imię swoich partyjnych zamiarów i widzimi się. Posługują się przy tym nierzadko metodami prostackimi, a nawet chamskimi. Kreują pseudoautorytety dalekie od kultury polskiej i europejskiej, a nawet chrześcijańskiej.

Wszystko to potwierdza zestawienie dotychczasowych laureatów, lista doprawdy imponująca. Oto oni: prof. Andrzej Zoll, prof. Leszek Balcerowicz, prof. Karol Modzelewski, Kazimierz Kutz, Jerzy Stępień, prof. Adam Daniel Rotfeld, prof. Andrzej Romanowski, Wiesław Myśliwski, prof. Bronisław Łagowski, prof. Ewa Łętowska, ks. prof. Michał Heller, red. Jerzy Baczyński, prof. Adam Strzembosz.

W tym zacnym gronie znajduje się wielu wybitnych prawników, co jest rzeczą naturalną w czasie, gdy różne siły polityczne naginają prawo w interesie swoich opcji politycznych i partyjnych. Przyjęliśmy zasadę, że osoby, które pełnią aktualnie funkcje polityczne czy państwowe, mogą kandydować do nagrody – jeśli na to zasłużą – dopiero po zakończeniu swojej misji, żeby podkreślić społeczny charakter medalu i jego indywidualny, osobisty charakter. Akcentuje to również kształt medalu, zaprojektowanego przez Janusza Trzebiatowskiego – jasna słoneczna tarcza, przywodząca na myśl wartości uniwersalne. Nagroda jest honorowa, nie stoi za nią żadna suma pieniężna, ale jest ceniona, co potwierdza lista laureatów.

Medal przyznawało przez kilkanaście lat kolegium redakcyjne w dość prosty sposób: zgłaszaliśmy kandydatury bez ograniczeń i w tajnym głosowaniu oddawaliśmy na nie głosy. Jeśli większość opowiedziała się za daną kandydaturą, osoba ta została laureatem, jeśli nie, do drugiego głosowania przechodziło dwóch kandydatów i jeden z nich otrzymywał medal.

Z początku nagrodę wręczałem w imieniu kolegów redaktorów sam, ale uczestniczył w tym życzliwy prezydent Jacek Majchrowski. Później stało się oczywiste, że medal „Za mądrość obywatelską” jest ważnym wyróżnieniem, zarazem krakowskim i ogólnopolskim. Wręczany w bocznym budynku na Wawelu, przeniósł się do siedziby władz miasta, a patronat objął prezydent, który wspólnie ze mną zajmował się wręczeniem. Przy okazji zapraszał gości na poczęstunek i kieliszek wina. W trakcie uroczystości odbywał się występ muzyczny, przy czym staraliśmy się brać pod uwagę upodobania laureata. Kutz przywiózł ze sobą część zespołu „Śląsk” i dziarscy Ślązacy ożywili wawelskie mury w sposób nieoczekiwany.

Z czasem ustaliła się procedura wręczenia nagrody. Przed jej przekazaniem laureata przyjmował prezydent Majchrowski. Lauda-

Z czasem ustaliła się procedura wręczenia nagrody. Przed jej przekazaniem laureata przyjmował prezydent Majchrowski. Laudację wygłaszała uzgodniona z nagrodzonym osoba (czasami więcej niż jedna) o wielkim autorytecie, na przykład prof. Romanowski rekomendował Adam Michnik. Głos zabierali prezydent miasta Krakowa i przewodniczący rady miejskiej, na koniec oczywiście laureat, którego obszernie prezentował „Kraków”.

cję wygłaszała uzgodniona z nagrodzonym osoba (czasami więcej niż jedna) o wielkim autorytecie, na przykład prof. Romanowski rekomendował Adam Michnik. Głos zabierali prezydent miasta Krakowa i przewodniczący rady miejskiej, na koniec oczywiście laureat, którego obszernie prezentował „Kraków”.

*

Wspominając kilkunastoletnie dzieje medalu, przywołuję zasługi prof. Andrzeja Zolla, pierwszego laureata, który nagrodę zdecydowanie wsparł. Przyjemność sprawił mi fakt, że wręczyłem nagrodę moim krajanom z Sandomierza – Jerzemu Stępniewi oraz pisarzowi Wiesławowi Myśliwskiemu, starszemu koledze z sandomierskiego liceum. Nie były to nagrody kumoterskie. Stępień rozstawszy się z wysoką funkcją sędziowską, wypowiadał się często i zdecydowanie w obronę demokracji.

Wiesiek, który wylądował na warszawskim Ursynowie, wspominał podsandomierskie Dwikozy i nasze miasto z sentymentem, ale nie ukrywał, że czasami było mu trudno. W dziejach jego pisarstwa pewną rolę odegrała... stolnica, na której pisał, trzymając ją na kolanach w różnych zakątkach, gdy nie miał jeszcze mieszkania. Problem techniczny jego pisania jest dość skomplikowany. Píše ręcznie, starannie poprawia, na dębowym stoliku z Cepelli, nabytym przed wielu laty. Kiedy zadzwoniłem do niego, gratulując wydania powieści *Ucho igielne*, zapytałem o występujące w tej powieści ciasto zwane „topielec”, z którym w Sandomierzu się nie spotkałem. Wiesiek jadał je w domowej kuchni, ale przepisu nie znał. Moja żona gdzieś w internecie go wyszperała i to ciasto upiekła. Zupełnie nieźle, dając słowo.

Pamiętam, jak odbierał nagrodę Kutz. Zadarł wtedy ostro z prawicą, która atakowała go bez pardonowo. Pan Kazimierz wcale się tym nie przejmował. – Musiałem im dobrze dopiec, kiedy się tak wściekają – mówił z wojowniczym błyskiem w oku. – My na Śląsku łatwo się nie poddajemy. W Krakowie czuł się niemal jak u siebie w domu. Kiedyś podjął się

funkcji naczelnego redaktora TVP Kraków i zaprosił między innymi mnie do współpracy, zachowałem list od niego w tej sprawie.

Wręczenie medalu stwarzało okazje do przyjaznych pogawędek z laureatami. Z Balcerowiczem wspominaliśmy, jak był jeszcze prostym magistrzem i zaczął współpracować z czasopiśmie „Student”. Zaoferował mi reportaż z Meksyku, krainy wówczas trudno osiągalnej, więc bardzo się ucieszyłem i dałem go na pierwszą stronę z nadtytułem „korespondencja własna”. Laureat Balcerowicz powiadomił mnie atoli, że nigdy w tym kraju nie był, a „reportaż” napisał, posługując się wycinkami zebranych w bibliotece jednej z warszawskich szkół wyższych. Tak czy owak, to był ciekawy artykuł. Z niektórymi laureatami, na przykład prof. Strzemboszem i prof. Rotfeldem rozmawiałem o dawnym Krakowie, bo stąd się wywodzą. To były miłe rozmowy, choć Rotfeld pojawił się w Krakowie jako sierota ocalały z Holocaustu. Krakowski patriotyzm dawał o sobie znać.

*

Dziś nowy redaktor naczelny miesięcznika i nowe jury przyznało medal „Za mądrość obywatelską” znakomitej aktorce Krystynie Jandzie. Wyróżnienie zostanie wręczone 1 czerwca w ratuszu miejskim pod auspicjami prezydenta Krakowa. Tym sposobem zaczyna się drugi okres nagrody.



Jan Pieszczachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika „Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.

Andrzej Zaręba, *Obóz konserwatywny*

Święty Jacek i Chińczyki

Tekst: Mieczysław Czuma

Kraków dorobił się w tym roku zaszczytnego tytułu europejskiej stolicy gastronomii. I to prowokuje mnie do ujawnienia pewnej doniosłej kulinarnej prawdy. O uwielbianym produkcie, który wyrósł na cudzych drożdżach, a który z łakomstwa przypisujemy naszym przodkom.

Chińczyki trzymają się mocno. O tym nie od dziś wiadomym fakcie nie bez powodu przypominam właśnie teraz. Otóż, tak mocno zadomowione w naszej kuchni i uwielbiane przez rzeszę turystów pierogi, wcale nie są naszym genetycznym dobrem narodowym. Pochodzą z cudzego łoża, są wynalazkiem chińskim. Bo to właśnie tam najwcześniej nauczono się zawiązać różnorakie farsze w kawałki cienko rozwałkowanego ciasta. Chińszczyzna nie od dziś podbija więc nasze rynki.

Żeby jednak nie popadać w kompleksy. Owszem, obdarowaliśmy świat smakowitymi kulinariami, które nawet w swojej nazwie przypominają o chlubnym rodowodzie: kiełbasa krakowska, kasza krakowska, starka krakowska. I takimi, które i bez powoływania się na królewskie miasto jednoznacznie kojarzą się z hejnałem. No, choćby kremówka, maczanka, obwarzanek. Ale to, czym dziś najgłośniej popisujemy się przed światem, to dawna chińszczyzna.

Pierogi trafiły do nas już w XIII stuleciu. Przybyły z Rusi Kijowskiej. Tam posługę apostołską pełnił wtedy krakowski dominikanin, późniejszy święty Jacek, z możnego rodu Odrowążów. To on pierwszy zasmakował gotowanego ciasta z nadzieniem. I pewnie dlatego najpopularniejsze dziś u nas pierogi, to te ruskie. Samo słowo – piróg, pieróg – wywodzi się z prasłowiańskich „pir”, czyli biesiad odbywanych po zebraniu plonów. „Pirą” nazywano także kiedyś ciasto obrzędowe, jakim czczono dobre urodzaje.

W wyniku podziału niebiańskich powinności ten krakowski święty został patronem dobrych plonów, miał chronić zasiewy przed wichurami i gradobiciem. W średniowieczu, gdy w czasie żniw niebo zaciągało się chmurami i słychać było burzowe grzmoty, żeńcy padali na kolana i wznosili modły: „Święty Jaku z pierogami, zmiłuj się nad nami”. Święto ku jego czci wyznaczono na 17 sierpnia. Zboża były już zebrane i można było jeść pierogi ze świeżej mąki. Legenda mówi, że niejaka Klemencja ze wsi Kościelec koło Proszowic zaprosiła do siebie w porze żniw tego kaznodzieję na rekolekcje. Gradowa nawałnica zamieniła dorodne łany jej zbóż w zmierzwi-

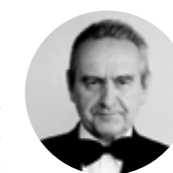
cząpka krakowska ma rodowód chiński. Ta uformowana w cztery rogi część garderoby była nakryciem głowy walecznych wojowników Dżungarii, w jednej z tamtejszych północnych prowincji. A bliskie jej pawie pióra należą do ptaków, które przez stulecia były ozdobą ogrodów mandarynów i cesarzy.

ną sieczkę. Krakowski dominikanin całą noc spędził w polu na modłach, a rano na jego wezwanie w cudowny sposób podniosły się w górę powalone kłosa żyta i pszenicy. Można było podać pierogi.

Za sprawą tego patrona Kraków stał się ich europejską stolicą. W czasie organizowanych tu corocznych sierpniowych festiwali serwowane są na dziesiątki sposobów. Mogą być z kaszą gryczaną, kapustą, wiśniami, borówkami, serem, wołowiną, kiełbasą, makiem, pomarańczami, wanilią, jabłkiem, płatkami róży... I nie tylko. Twórca najbardziej poszukiwanego smaku wyróżniany jest statuetką św. Jacka.

Pierogi najlepiej smakują w Krakowie. A uzasadniają to pewne ważne okoliczności. Chiny na długo przed powstaniem Unii Europejskiej starały się wkupić w łaski co bardziej godnych miejsc na tym kontynencie.

Miał rację krakowski wieszcz już wtedy, na weselu w Bronowicach. Chińczyki trzymają się mocno. Coraz to bardziej więc zastanawiam się, czy aby nie zmienić nazwiska na bardziej przyjazne dla Chińczyków: Czu-Ma.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Stąd do Moniuszki

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Stęskniłam się za Warszawą. Wiosna, jak to wiosna, upłynęła zabiegana na wspaniałych, krakowskich festiwalach. Wpadałam do domu tylko czasem. Aż tu wracam i zderzam się z Moniuszką.

Bo wiedzieć, że Dworzec Centralny nosi teraz jego imię, to jedno. A zobaczyć wielką tablicę przy wejściu, to drugie. W maju minęło 200 lat od urodzin jednego z najważniejszych dla Polski kompozytorów. W czerwcu na dobre rozkręcają się poświęcone mu wydarzenia i koncerty. Największym chyba sukcesem tego jubileuszowego roku byłoby pokazanie go w innym świetle. Stanisław Moniuszko wydaje się być dla masowej publiczności potwornie posagowy. Założę się, że w życiu by do czegoś takiego nie dopuścił.

Ważny niczym święto narodowe. Szaleńczo zakochany nie tylko w swojej żonie, ale i w Polsce, którą przerzucał na pięciolinię dosłownie i w przenośni. Ba, nawet wymyknięto mu się kiedyś, że „nic nowego nie tworzy”.

Nasza dumna narodowa. Kompozytor przez duże K. Przeciętnie zorientowany w kulturze Polak wymieni kilka jego dzieł. Naprawdę. *Halkę*, *Straszny dwór* i *Prząśniczkę*. Zbadano to nawet na dużej grupie. Kompletnie nic nie wiemy o człowieku. A człowiek, jak to człowiek, był z niego interesujący. Choć nieco prowokacyjnie. Nie dał się zapędzić do pracy urzędnika, na wszelkie złośliwości – bo po co szlachcicowi pisanie muzyki – odpowiadał cierpliwie i bez awantur. Całe życie zakochany w swojej żonie, której muzykalności wiele zawdzięcza, bo to ona była jego pierwszym słuchaczem. I to naprawdę nie jest nudne, biorąc pod uwagę, że wiecznie nie mieli pieniędzy właśnie dlatego, że Stanisław wybrał muzykę. Tu, jak widać, nic się w świecie sztuki nie zmieniło.

Dobry, skromny gość. Bez wielkiej charyzmy, bez spektakularnego talentu. Nawet spekulacje, że pisał „ku pokrzepieniu serc”, nie są do końca prawdziwe. Pisał za to z serca. Ciężko promuje się go na świecie, choć zwracają na niego uwagę muzyczne znakomitości, z radością go grając i śpiewając. Ważny niczym święto narodowe. Szaleńczo zakochany nie tylko w swojej żonie, ale i w Polsce, którą przerzucał na pięciolinię dosłownie i w przenośni. Ba, nawet wymyknięto mu się kiedyś, że „nic nowego nie tworzy”. Może rzeczywiście jest w tych mazurach, pieśniach

i komediach (!) po prostu zamknięta nasza codzienność? Ze szczyptą marzeń, których treść zmieniła się przez lata, ale sens pozostał taki sam.

Moniuszkę przekazują dalej kobiety. Zauważyłam to u znakomitych popularizaterek pieśni, między innymi u Katarzyny Oleś-Błachy, cenionej śpiewaczki i pedagog, związanej z Operą Krakowską. Ale i u Włodka Pawlika, laureata Grammy, fantastycznego pianisty i kompozytora, a nade wszystko wrażliwego jazzmana. Muzyki Moniuszki słuchał od dziecka dzięki mamie, solistce, której czasem akompaniował. Żona artysty, Jolanta, też straciła dla Moniuszki głowę w jak najlepszym tych słów znaczeniu. Jej wielkim marzeniem jest nagranie wszystkich pieśni kompozytora. Jest ich blisko... 300! Nikt tego dotąd nie zrobił.

Włodek Pawlik wydał niedawno doskonałą płytę z Moniuszką na jazzowo. Jeśli ktokolwiek wzdryga się na myśl o słuchaniu *Prząśniczki*, niech sięgnie po nią natychmiast. Tak nowoczesnej, świeżej i szalonej płyty dawno nie było. Jest mocno uzależniająca, tria Pawlika po prostu nie da się wyłączyć, a *Aria z kurantem* pokazuje wielką siłę melodii. Napisałabym, że nie poznamy, że... to Moniuszko, ale nie chcę być złośliwa.

Stanisław Moniuszko jako patron Dworca Centralnego podoba mi się ogromnie. Nie tylko jako symbol naszej kultury, ale po prostu jako człowiek, który ciągle był w podróży! Mamy w krakowskiej redakcji radia popiersie, łudzaco podobne do Moniuszki, ale i Kościuszki. Pieszczotliwie mówimy o nim więc „Mościuszko” i przystrajamy z wielu okazji. Dziś, zawiązując mu pod brodą czerwoną, urodzinową wstążkę, życzę sobie, aby więcej się o jego muzyce i nim samym mówiło prostym językiem. W końcu jego największym pragnieniem było być zrozumianym w każdym domu. Nasze XXI-wieczne domy to chyba jego największe wyzwanie.



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownica z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pewnego czasu w Warszawie.

Żadna rozmowa o pracę nie hańbi!

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

– Dzień dobry, chciałbym zapisać się na squash – rozpoczął rozmowę Tomek Kireńczuk, dyrektor artystyczny Teatru Nowego. – Czy są miejsca na godzinę 14? – Dzień dobry, oczywiście. Ale my prowadzimy zajęcia od 16.30. – Aha. A dlaczego tak późno? – Bo o 14 ludzie są zazwyczaj w pracy, proszę pana. – Gdzie???

Śmiałyśmy się z tej anegdoty do rozpuku i jak na krakowskie bananowe dzieci przystało, piliśmy sojowe latte. Moglibyśmy jeszcze wpatrywać się w MacBooka, ale akurat nie cierpimy systemu Apple’a, więc gapiliśmy się w ekran Della. Było to dawno temu, w czasach, które niesłusznie minęły i upływały nam na picie wódki na kreskę w Pauzie, leczeniu kaca i opowiadaniu sobie o znakomitych artystycznych pomysłach, które do dziś nie zostały zrealizowane (albo zostały zrealizowane przez innych, bardziej wytrwałych i poważniej traktujących siebie i sztukę. Ewentualnie mniej pili). Byliśmy, co tu dużo mówić, żywym, narcystycznym i wiecznie zblazowanym stereotypem o krakowskim absolwencie studiów humanistycznych. Oczywiście zdarzali się ludzie od nas mądrzejsi i starsi, na przykład redaktor naczelny niniejszego miesięcznika, którzy ostrzegali, że długo tak żyć się nie da. Ale kto by ich słuchał – podobne porady nazywaliśmy pierwszą fazą zramolenia. Jednak w końcu nadszedł ten dzień – dzień, w którym postanowiliśmy przestać udawać, że pieniądze szczęścia nie dają, a pożyczanie cukru od doktorowej Stein z piętra wyżej i życie w zagrzybionej kawalerce z widokiem na śmietnik jest wspaniałe.

Człowiek stanął więc przed krakowskimi rekruterami w pełnej gotowości. Trzymał w dłoni CV, w którym drobiazgowo opisał każdy swój zmarnowany dzień w jednej czy drugiej, ale zawsze tymczasowej pracy. Telefon wibrował nieustannie, jakby na złość, bo przecież nie tak to miało wszystko wyglądać. Posypały się tak zwane zadania rekrutacyjne – jedni prosili, by opisać, jak działa powerbank, drudzy chcieli szczegółowy tekst o systemie do zarządzania księgowością. Co jakiś czas smutny pan z „Pulsu Biznesu” przypominał o tym, że żyjemy w czasach „rynku pracownika”. Długo próbowałam odkryć tajemnicę tych dwóch kuszących słów, które od razu kasowały narzekania utyranych pracowników Amazona i brzmiały prawie jak „Bora Bora”. Byłam przekonana, że rynek pracownika oznacza po prostu powstanie owego pracownika z kolan, że możemy, jak radzą różni doradcy od wysokiej samooceny, z kamienną twarzą mówić o sześciu tysiącach netto na start, bo przecież trzeba się cenić! Byliśmy, jak to mówią, w mylnym błędzie. Okazało

się, że w krakowskich firmach ulubionym słowem jest „maraton”, a wiemy, jak skończył słynny grecki biegacz. Krakowski maraton rekrutacyjny ma jeden cel: wykończyć kandydata dwudziestoma etapami rekrutacji w kilku językach, z których najmniej liczy się ojczysty, choć sami rekruterzy myślą „bynajmniej” z „przynajmniej”.

Rekruter nie tylko zaprzecza legendzie o rynku pracownika, ale jest w swej pracowniczej mentalności typowym krakowskim utracjuszem, sknerą i dziwakiem. Na przykład:

Zdarzali się ludzie od nas mądrzejsi i starsi, na przykład redaktor naczelny niniejszego miesięcznika, którzy ostrzegali, że długo tak żyć się nie da. Ale kto by ich słuchał – podobne porady nazywaliśmy pierwszą fazą zramolenia.

Nr 1: – Nie będę pani trzymać dłużej w niepewności. Zatrudniam panią! Jutro wyślę do pani umowę! (Po kilku dniach późnym wieczorem otrzymuję wiadomość o tym, że wybrano kogoś z „mniejszych kompetencjami”, czytaj: tańszego. Anegdoty o krakowskich centusiach nie są przesadzone).

Nr 2: – Pani napisze mi te teksty, a ja pani za nie zapłacę. (Przelewu nie ma do dziś, teksty widnieją za to na stronie właściciela firmy. Telefonów nie odbiera).

Nr 3: Rozmowa online z wiceprezesem ważnej krakowskiej firmy.

– Dzień dobry, włączyłam kamerę, ale nie widzę pana. Tak ma być? – pytam.

– Tak – odpowiada czarny kwadrat.

I moja ulubiona rekruterka z międzynarodowej korporacji:

– Przepraszam panią, że tak wciąż przełykam i siorbię, ale mam dziś straszno kaca!



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskaliami”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą” i portalem publicystyczno-społecznym Polska Ma Sens. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień marketingowiec i dziennikarka „Codziennika Feministycznego”.



Książkę otwiera opis zdarzenia w ośrodku zdrowia, gdzie na jednej nodze przyskakał licealista z pobliskiej szkoły. Noga pewnie do gipsu, ale gdzie nie zapukał – odsyłano go gdzie indziej. I tak skakał od drzwi do drzwi, aż się wyrzucił. I wtedy: „Wstał, spojrzął na korytarz, ludzi na korytarzu (...) a potem zaczął wrzeszczeć: – JAK JA NIENAWIDZĘ TEGO KRAJU!!!! LUDZIE! TRZEBA STAĆ SPIERDAŁAĆ!”.

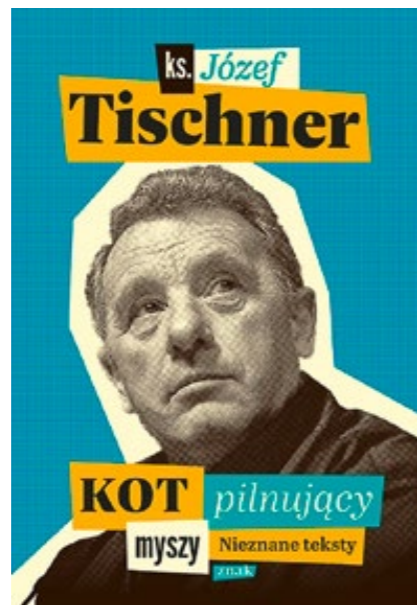
A wśród kończących tom zapisków jest sprostowanie mocniejsze. „Co to się zrobił za kraj: udają powstanie warszawskie, biją się na niby pod Grunwaldem... Krwi sztucznej nie można dostać, bo wykupiona w ilościach nieprawdopodobnych, pakowana w beczki na potrzeby ulicznych inscenizacji, a w teatrach cisi, skromni, zaginioni. Wszystko się pomieszało”.

Pierwsza notka jest ze stycznia 2007. Druga – z września 2010. Między tymi dwoma datami zmarł Edward Kłosiński, drugi mąż Krystyny Jandy. Przytrafiła się katastrofa smoleńska i zaczęło się szaleństwo na ulicach. A po drodze był film *Tatarak*, teatr, praca, życie codzienne.

Janda jest wielka – to banalny banał. Jej *Dzienniki* to jednak coś więcej niż tylko dowód niezwykłej aktywności artystki. To zapis czegoś, co nam umyka – choroby Polski i jej degradacji.

A codzienność skrzeczy... (wb)

Krystyna Janda, *Dziennik 2007-2010*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2019.



Dziewiętnaście lat po śmierci ks. prof. Józefa Tischnera mógłby się wydawać, że filozof nadal tworzy: od tamtej pory opublikowano prawie dwadzieścia tytułów złożonych z rozproszonych bądź niepublikowanych tekstów Tischnera. Teraz tę listę poszerzył *Kot pilnujący myszy*. Książka ta, złożona głównie z tekstów publicystycznych, przenosi nas w środek debaty nad kształtem powstającego państwa. Znajdziemy tu więc teksty poświęcone zagadnieniom wykupywania ziemi przez zagranicznych inwestorów, ustawy aborcyjnej czy zaangażowaniu Kościoła w działalność partii politycznych. Z perspektywy prawie 30 lat, które upłynęły od napisania tych tekstów, uderza ich aktualność, pomimo że znaczną część książki stanowią felietony i polemiki odnoszone do bardzo doraźnych sporów. Ta aktualność pokazuje, że polska debata publiczna niewiele posunęła się do przodu, a miejscami można mówić wręcz o regresie. Jednocześnie teksty (jak na Tischnera przystało) imponują szacunkiem do adwersarzy i wysoką kulturą sporu, o co również w dzisiejszej debacie coraz trudniej. (pk)

Józef Tischner, *Kot pilnujący myszy*, Znak 2019.



Panie Kolego Federowicz.

Od połowy lat 70. z obrzydzeniem śledzę Pańskie działania.

Pan to jakąś obsesję ma i drwi sobie z władzy naszej kochanej, jakkolwiek się ona nazywa. Czy jest to Polska Zjednoczona Partia Sprawiedliwości czy też Prawo i Socjalizm, to Pan sobie pozwala.

I antypolskie jest to.

Panie Kolego Federowicz (i niech mnie Pan nie poprawia, że się pan nazywa Federowicz – my, Prawdziwi, chyba lepiej wiemy?) – osiągnął Pan w tym swoim czepiactwie wiek piękny – lat 81. I z tej okazji zamiast tortu funduje Pan książkę z tekstami do mówienia?

A czy Pan wie, co się stanie, jeśli ludzie za Panem zaczną powtarzać:

„Jarosław Kaczyński jest nieśmiertelny. (...) Jego następcy będą dalej dążyć do prawdy o Smoleńsku, kolejne dekady będą ich do tej prawdy zbliżały, około roku 2050 prawda będzie tuż-tuż, to nawiasem mówiąc będzie czas, kiedy na pomnikach będziemy mieli już obu braci Kaczyńskich, przed pałacem prezydenckim obaj będą siedzieli na koniu po Poniatowskim”.

Z równym obrzydzeniem będę uważnie śledził Pańską działalność w wielu latach następnych. (wb)

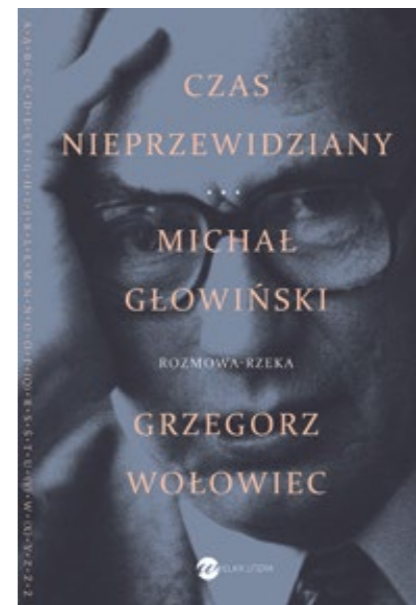
Jacek Federowicz, *Chamo Sapiens*, Wielka Litera, Warszawa 2018.



Biorąc po uwagę dorobek ziemnych oficy w ostatnim 15-leciu PRL-u, Kraków był drugim – po Warszawie – ośrodkiem wydawniczym w kraju. Liczbę ukazujących się z pominięciem cenzury tytułów prasowym trudno dziś precyzyjnie określić, ale nawet najostrożniejsze szacunki wskazują na istnienie w tym czasie co najmniej pięciuset pism niezależnych! Do tego dochodzą ukazujące się w podziemiu książki – w sumie około 800-900 pozycji! A wszystko to w warunkach nie tylko policyjnej inwigilacji i zagrożenia redaktorów, drukarzy, kolporterów represjami z więzieniem włącznie, ale też tak zwanej gospodarki niedoboru, która obejmowała przecież także papier, benzynę itd.

Cecylia Kuta drobiazgowo – choć szkoda, że opierając się głównie na materiałach Służby Bezpieczeństwa – opisała ów nie tylko polityczny, ale także kulturowy fenomen. I nie chodzi tylko o to, że w drugim obiegu ukazywały się wielkie, a zakazane przez władzę dzieła literackie czy też że czasem imponować mógł czysto edytorski poziom podziemnych, było nie było, książek i gazet. Prócz skali zjawiska imponuje bowiem także determinacja ludzi zaangażowanych wydawanie „bibuły”. kb

Cecylia Kuta, *Nieczurowane. Z dzieł drugiego obiegu wydawniczego w Krakowie w latach 1976-1990*, Instytut Pamięci Narodowej, Kraków 2019.



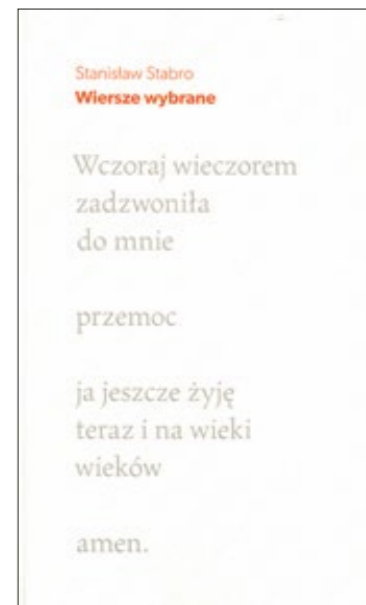
Podtytuł mógłby zniechęcić: *Rozmowa rzeka. Długa rozmowa bez pana, wójta i plebana*. A jednak, jak zawsze, decyduje rozmówca – profesor Michał Głowiński to nazwisko, którego nie może pominąć nikt, kto interesuje się współczesną humanistyką.

O jego postawie wobec totalitaryzmu, manipulacji językowych mówią jego znakomite książki – choćby biograficzne, jak *Czarne sezony* i *Kręgi obcości*. Ale i *Zła mowa* z tekstami sprzed 1989 roku, doskonale opisuje, jak się dzisiaj mówi w przestrzeni publicznej.

Najnowsza książka jest i o wojnie, o Zagładzie, o PRL (dużo!), a i o Polsce dnia dzisiejszego. Warto jednak zwrócić uwagę na opinie o współczesności, tej tworzonej po „naszej” stronie, niekoniecznie po stronie tych, co to pałką, kłamstwem i zamordyzmem. Nasze przewiny są, owszem, głównie intelektualne (nikt prawa nie gwałcił na wielką skalę), ale równie istotne.

Na przykład coś, co Głowiński nazywa „awangardowym epigonizmem”, a co nie ogranicza się do sztuki, ale jest istotne także w sferze nauki. Niby mamy dostęp do najnowszej myśli światowej, ale małopujemy ją z zachwytem, zamiast mieć własne punkty wyjścia i dopiero wiedząc, co w świecie, konstruować myśl własną. (wb)

Michał Głowiński, Grzegorz Wołowicz, *Czas nieprzewidywany*, Wielka Litera 2018.



Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie
przemoc
ja jeszcze żyję
teraz i na wieki wieków
amen.

Poeta Stanisław Stabro nieczęsto rozpieszcza czytelników nowymi książkami. Nakładem Biblioteki Kraków ukazał się niedawno nowy tom jego poezji – *Wiersze wybrane*. Książka składa się z dwóch części. W pierwszej pomieszczone zostały utwory pochodzące z wcześniejszych tomów Stabry, w drugiej – zatytułowanej *La vie après la vie* – przeczytamy nowe wiersze poety. Uwagę zwraca okładka książki – projekt Zuzanny Łazarewicz. Wykorzystany graficznie tekst z jednego z utworów poetyckich wprowadza czytelnika w mroczną atmosferę wierszy Stanisława Stabry, które eksponują wątki tragizmu historii i tragizmu losu ludzkiego – co podkreśla w posłowie do książki Zofia Zarębianka. Książka ukazała się w ważnym życiowym momencie poety, ponad pięćdziesiąt lat od literackiego debiutu w 1966 roku, u kresu naukowej kariery na Wydziale Polonistyki UJ. Prof. Stanisław Stabro jest literaturoznawcą, historykiem i krytykiem literackim, wychowawcą wielu pokoleń absolwentów polonistyki UJ. Omawiana książka jest niewątpliwie jedną z ważniejszych pozycji w literackim dorobku poety.

Janusz M. Paluch

Stanisław Stabro, *Wiersze wybrane*, Biblioteka Kraków, Kraków 2018.



P A M V A L E N T I N E
K O C H A N K O W I E
N I E Z T E J Z I E M I

25, 26 CZERWCA
GODZ. 19.15

REZERWACJA TEL. 12 422 66 77
WWW.BAGATELA.PL, WWW.TEATR.PL



Wajda w Narodowym

Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Można było po prostu opowiedzieć historię jego życia i z łatwością wypełniłaby ona przestrzeń ekspozycyjną z nawiązką. Ale twórcy wystawy *Wajda* mieli inny pomysł.

– Mogliśmy zrobić wystawę biograficzną (...) tylko po co? Naszym celem jest pokazanie geniuszu Andrzeja Wajdy w procesie tworzenia – tak o wystawie mówi jej kurator, dr hab. Rafał Syska. Najnowsza wystawa Muzeum Narodowego w Krakowie – pierwsza w świecie monograficzna wystawa poświęcona Andrzejowi Wajdzie – doskonale ten cel realizuje. Przestrzeń wystawy podzielona została tematycznie, prezentując zarówno najstyn-

niejsze prace reżysera, jak i mniej znane. Szczególnie warto zwrócić uwagę na część poświęconą projektom, których Wajdzie nie udało się zrealizować. Obecność obowiązkowa! (pk)

Wajda, Muzeum Narodowe w Krakowie, 6 kwietnia – 8 września 2019, bilet normalny 20 zł, ulgowy 15.

Beata Stankiewicz, *Pracownia Marca Rothki*, olej na płótnie, 240 x 180 cm, 2018

■ Grzegorz Kozakiewicz wśród najlepszych fotoreporterów kraju!

Znany od dawna z łamów „Krakowa” Grzegorz Kozakiewicz znalazł się w ścisłej czołówce najpoważniejszego w Polsce konkursu fotografii prasowej.

I to z dwoma zdjęciami! A jedno z nich pochodziło właśnie z „Krakowa”!

Mowa o organizowanym przez miesięcznik „Press” Ogólnopolskim Konkursie Fotografii Prasowej Grand Press Photo. Jury tradycyjnie przewodniczy światowej klasy fotoreporter – tym razem był to Espen Rasmussen, wielokrotny laureat World Press Photo i Pictures of The Year international (POYi). Wśród sędziów byli nadto przedstawiciele najważniejszych w kraju agencji fotograficznych i uznani fotoedytorzy. Wybierali spośród 4500 (!) zdjęć.

Tym większe uznanie dla Grzegorza Kozakiewicza, który startował w „zdjęcia pojedyncze” – i aż dwie jego fotografie znalazły się wśród 58 finalistów. Pierwszym jest portret Leopolda Kozłowskiego – wykonany specjalnie dla „Krakowa” (i zdobiący miesięcznik z listopada ub. roku). Drugim – zdjęcie dokumentujące jubileusz Anny Polony (w kategorii Kultura i rozrywka).

Grześ – uznanie i gratulacje!

(kb)

■ Festiwal Muzyki Filmowej

Już po raz 12. mogliśmy w Krakowie wysłuchać na żywo gigantów muzyki filmowej. Najciekawszymi wydarzeniami Festiwalu Muzyki Filmowej było wykonanie przez Antonia Sanchezę ścieżki dźwiękowej z filmu *Birdman* – wyłącznie przy użyciu instrumentów perkusyjnych! – oraz *Dance2Cinema* w ICE Kraków, czyli tańce do przebojów z filmów Quentina Tarantino.

Centralnym punktem festiwalu był koncert *Scoring4Polish Directors*: wieczór tradycyjnie poświęcony twórczości jednego z wybitnych polskich reżyserów – w tym roku bohaterem gali byli Krzysztof Zanussi oraz Wojciech Kilar jako autor muzyki do jego filmów.

– Żadna ze ścieżek dźwiękowych napisanych przez Kilara mnie nie zawiodła. Dlatego nie myślałem o tym, żeby pracować z kimś innym – wspominał w czasie gali Zanussi.

Rozdano także festiwalowe nagrody: Young Talent Award powędrowała do Huberta Walkowskiego, autora suity z filmu *Pokot*, a przyznana po raz pierwszy nagroda za Polską Ścieżkę Dźwiękową Roku trafiła do Bartosza Chajeckiego za ścieżkę dźwiękową do serialu *Kruk*.

■ Język Kopernika

Za nami szósta odsłona Copernicus Festiwal – największego krakowskiego wydarzenia mającego za cel popularyzowanie szeroko rozumianej nauki. Co roku wszystkie wydarzenia festiwalowe ogniskują się wokół tematu przewodniego, o którym opowiadają naukowcy z całego świata, naświetlając zagadnienie z punktu widzenia dziedzin, które reprezentują. Tegorocznym tematem był język. Festiwal zainaugurował koncert *Leonardo Da Vinci – gramatyki tworzenia* z okazji 500. rocznicy śmierci artysty. W gmachu Muzeum Narodowego rozbrzmiały pieśni renesansowe, a także słynna *Il musicista* – kompozycja, której zapis nutowy Leonardo zawarł w obrazie o tym samym tytule. Gościem specjalnym tegorocznego Copernicusa byli Kanadyjczyk Charles Taylor – kojarzony z teorią multikulturalizmu filozof opowiadał o problematyce znaczeń i rozumienia – oraz Daniel Everett, amerykański lingwista, który opowiedział o swoich badaniach

nad językiem plemion amazońskich. Nie zabrakło też akcentów polskich – swoim dowcipem czarował językozawca Jerzy Bralczyk, opowiadając o zagadnieniach poprawności językowej.

■ Juwenalia Krakowskie

Maj to miesiąc, kiedy kontrolę nad polskimi miastami przejmują studenci – zwłaszcza w Krakowie, który może pochwalić się tradycjami uniwersyteckimi znacznie starszymi niż reszta kraju. W tym roku Juwenalia Krakowskie odbyły się w dniach 21–26 maja. Formuła ustalona jest od lat: wybory Najmilszej Studentki i Najmilszego Studenta Krakowa, pięć dni koncertów i piątkowy Korowód Juwenaliowy: wielki przemarsz poprzebieranej braci studenckiej z miasteczka AGH na Rynek Główny. Tam Najmilsza i Najmilszy otrzymali od prezydenta Jacka Majchrowskiego klucze do miasta, symbolicznie przejmując władzę w Krakowie. Jak co roku Korowód nie zawiódł pod względem oryginalności strojów, przebrań i transparentów. Byli superbohaterowie, hipisi, zakonnice, kanapy na kółkach i wiele, wiele innych.

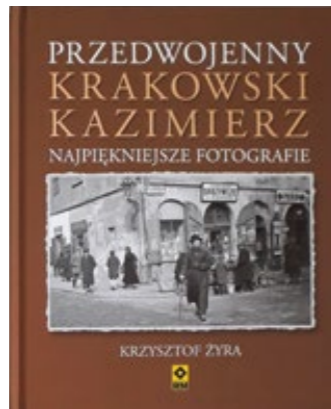
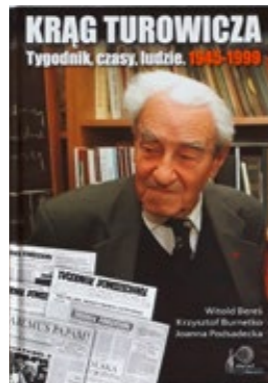
■ Polskie morze na Błoniach

Majówka od lat nie kojarzy nam się z oficjalnymi obchodami, a po prostu z długim weekendem, doskonałym momentem na pierwsze w roku wczasy. Tymczasem każdy kolejny dzień ma swoją określoną symbolikę: 1 Maja i Międzynarodowe Święto Pracy większość czytelników, zwłaszcza starszej daty, kojarzy z pochodami, o których najprawdopodobniej chciałoby zapomnieć. 3 Maja to dzień uchwalenia pierwszej konstytucji z 1791 roku. Nie każdy pamięta natomiast, że również 2 maja jest świętem. Od 2004 roku obchodzimy wtedy Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej, a w tym roku Kraków postanowił uczcić tę datę w nietypowy sposób. Na krakowskich Błoniach powstała instalacja złożona z 10 tys. biało-czerwonych flag, ułożonych w kontur mapy Polski. Dzień był wietrzny, co jeszcze spotęgowało oszałamiające wrażenie, jakie wywołało to morze flag. Po tym wydarzeniu każdy uczestnik mógł zabrać do domu pamiętkową flagę.

Drodzy Czytelnicy!

Czytasz „Kraków” regularnie? Chcesz być na bieżąco ze wszystkim, co dzieje się w redakcji? Polub nas na Facebooku: tam znajdziesz zawsze najświeższe informacje o zbliżających się numerach, wydarzeniach, a także... konkursy z nagrodami! W tym miesiącu będziemy mieli dla was album fotograficzny *Przedwojenny Kazimierz* autorstwa Krzysztofa Żyry oraz książkę *Krąg Turowicza. Tygodnik, czasy, ludzie. 1945-1999*. Specjalny podarunek przygotowujemy także od Krystyny Jandy, laureatki tegorocznego „Medalu za mądrość obywatelską”!

Szczegóły konkursu Krystyny Jandy ogłaszane będą na naszym profilu Facebook, śledźcie nas uważnie! Tymczasem książki możecie zdobyć szybciej, wystarczy przysłać na adres email: redakcja@biblioteka.krakow.pl wiadomości, w których wymienicie trzy przymiotniki najlepiej opisujące Kraków. Jeżeli interesuje was konkretny tytuł, napiszcie to w wiadomości. Książki powędrują do pierwszych czterech osób, które wysłały wiadomość o wskazanej treści.



MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieśczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pzyk, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwicz, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopisem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Wielganoc po krakosku

Tekst i zdjęcie: Witold Beres



W lany poniedziałek na dziedzińcu klasztoru Sióstr Norbertanek oglądaliśmy prapremierę przedstawienia *Wielganoc po krakosku*, autorstwa Zbigniewa Grzyba, pasjonata i znawcy mowy krakowskiej (czyli „gądkki krakoskiej”). Było dużo i o miesięczniku „Kraków”...

„Iddze, iddze bajoku”, śmiała się babcia, gdy dziadkowie zabierali mnie na Emaus dawno, dawno temu, a ja im opowiadałem, że smoki to dinozaury, i tłumaczyłem, jak się na nie kiedyś polowało.

A droga z dzielnicy Wesoła (gdzie mieszkaliśmy) na Żwirzyniec była daleka. A tramwaj drogi, i czy słonko czy ziąb, czy drałować...

Babcia wnuka oporządzała, wękę z szynką pakowała, do koszyka dokładała serowiec, cwibak i krachlę, w której była domowa olo-cola (bo babcia Ola miała na imię), dziadek wzuwał garniak pod krawatką, ale żaden z niego krawaciarz nie był, broń Boże... (W domu był też nakastlik, czyszczak i szaflik, nie wolno było cyganić, a piszinger na adrucie był sakramencko dobry).

A sam Emaus? Jakie korkowce tu były, a balony, a jaka wata cukrowa! Cud, miód, malina!

Dziś Emaus to lekki obciach. I nie chodzi o to, że wata smakuje inaczej, a korkowce są *Made in China*. Ani o to, że gusta nie te. Wstydem jest moda na „Żydka”, figurkę starozakon-

go, który (bo Żyd ponoć cwany jest) ma przynosić finansowe powodzenie domowi. Kurczę, a jakby na Targach w Norymberdze sprzedawali figurki „Eine Polacken” w sukmanie, jako talizman na szczęście dla twego samochodu („Jedź do Polski, twój samochód już tam jest.”), to co? Fajnie by było?

Na szczęście niestrudzony Jarosław Sokół (związany skądinąd z Biblioteką Kraków, ot, za drzwiami pracuje), wpadł na pomysł kultywowania fajnej, krakowskiej tradycji, tej pamiętanej z czasów dzieciństwa. Organizuje zatem i Bal na Stawach (czyli festiwal kultury miejsko-ludycznej), i Winosiady (czyli biesiady, gdzie przy lampce węgrzyną goda się nie tylko o krakowskość), a teraz do tego doszedł sympatyczny spektakl robiony z sercem przez dzieciaki i kilku pasjonatów regionalizmów.

I choć za ulicą była chińska tandeta, to tutaj, na podwórku Norbertanek było po staropolsku – ze śmiechem i żartami, które ci pojmą tylko, którzy na Żwirzyncu potrafią pogwarzyć...

Więc cieszymy się, że na imprezie tyle i tak dobrze mówiono też o miesięczniku „Kraków” (dziękujemy prowadzącej Kasi Siwiec!).

Zresztą – jedno z najpiękniejszych słów krakowskich, *bajok*, to w jakimś sensie można by chyba przełożyć w dzisiejszych czasach na „dziennikarz”, prawda?

W następnym numerze:



Kraków nie z pierwszych stron przewodników – ale jeszcze ciekawszy! Fenomenalna Hanka Wójciak, jej wiersze i piosenki.

Nestor krakowskiego dziennikarstwa Mieczysław Czuma w rozmowie z wnukiem ujawnia całą prawdę o naszym mieście.

Kulinarna stolica Europy: gdzie i jak zjeść, żeby było i smacznie, i nowoczesnie, i po krakowsku?

I wiele, wiele więcej – do czytania na wakacje.

Gdzie jest „Kraków”?

Gdzie jest „Kraków”? Miesięcznik „Kraków”? Pytają wszyscy jak Polska długa i szeroka.

Drodzy Przyjaciele i Szanowni Sympatycy, ale i ci, którzy z odrazą, acz regularnie sięgają po nasz miesięcznik – jesteśmy dostępni na stojakach prasowych w największych miastach Polski, w kawiarniach i dobrych hotelach (tam przeczytać możecie nas ZA DARMO).

W Krakowie jesteśmy w kioskach i w sieci Empiku – w kiosku przy Starym Kleparzu, tuż przy biurach LOT, jesteśmy właściwie non-stop!

Ale najpewniejszy sposób to kontakt z redakcją i prenumerata lub Klub Przyjaciół!

*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Recykling za grosze

Wrzucasz butelkę, dostajesz pieniądze: tak najkrócej można opisać działanie Sortboxa – maszyny automatycznie sortującej plastikowe butelki, która pojawiła się w budynku urzędu miasta przy al. Powstania Warszawskiego 10. Podobne systemy z powodzeniem stosowane są już w wielu krajach Europy, między innymi w Niemczech, Norwegii, Francji czy Austrii, a krakowski automat jest pierwszym tego typu urządzeniem w Polsce.

– Wszystko działa prosto: wkładamy butelkę do środka, automat ją połyka, a my dostajemy 10 albo 20 gr – tłumaczy działanie Sortboxa Łukasz Wańtuch, radny Przyjaznego Krakowa, pomysłodawca zakupu maszyny. – Chcę w ten sposób zachęcić Sejm do wprowadzenia 10-groszowej kaucji na plastikowe butelki – dodaje radny.

Twórcą maszyny jest firma Grand Technology z podkrakowskiego Zabierzowa. – Koszt zakupu pojedynczego automatu waha się między 20 a 130 tys. zł. Teraz radni poszczególnych dzielnic zdecydowali, czy chcą, aby kolejne Sortboxy stanęły w innych zakątkach miasta.

Za młoda na obywatelkę

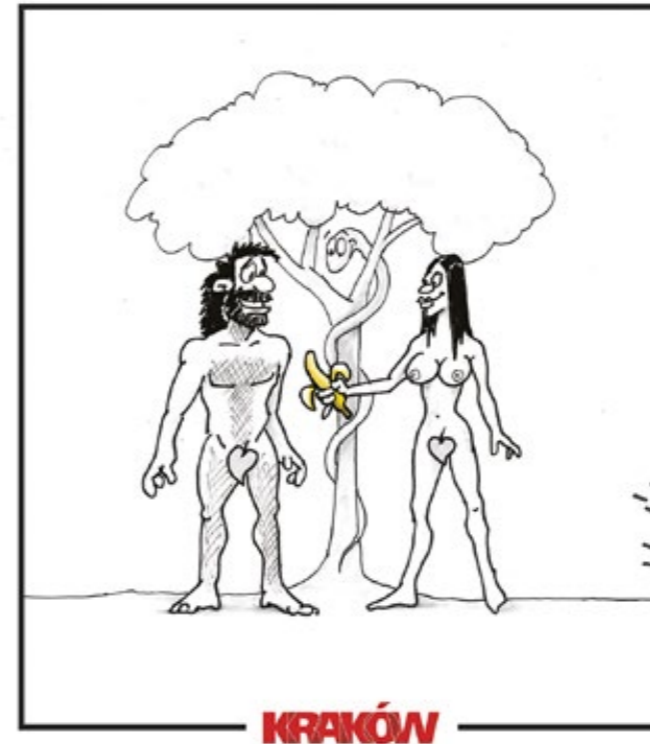
Agnieszka Radwańska nie otrzymała tytułu Honorowego Obywatela Krakowa – zdecydowali krakowscy radni. Tenisistka, która ubiegłej jesieni – po 13 latach na kortach – postanowiła zakończyć karierę, może się pochwalić najbogatszym dorobkiem wśród polskich tenisistek: ma na koncie występ w finale Wimbledonu, zwycięstwa w 20 turniejach WTA, trzykrotnie reprezentowała też Polskę na igrzyskach olimpijskich. Właśnie ze względu na jej osiągnięcia radni klubu PiS zaproponowali, aby przyznać pochodzącej z Krakowa Radwańskiej prestiżowy tytuł Honorowego Obywatela Krakowa.

Wniosek nie trafił jednak nawet na sesję rady miasta. Już na poziomie Komisji Głównej radni zagłosowali przeciwko kandydaturze tenisistki. Skąd taka decyzja? Radni PO wskazywali, że należy ograniczyć liczbę uhonorowań. Sławomir Pietrzyk z klubu prezydenckiego wskazał jednak na powód bardziej prozaiczny. Na nagrodę tenisistka jest po prostu za młoda.

Ostatecznie tytuł przyznany został prof. Antoniemu Działkowi, wybitnemu kardiologowi. Agnieszka Radwańskiej przyjdzie poczekać, aż Rada uzna ją za dostatecznie sędziwą.

Z sokołem na gołębie

Nasz redakcyjny kolega, a jednocześnie radny dzielnicy Stare Miasto Jacek Balcewicz zaproponował nietypowy sposób na walkę z gołębiami na Rynku. Otóż radny zasugerował, że najlepszym rozwiązaniem jest... zatrudnienie miejskiego sokolnika. „Użycie odpowiednio wytrenowanych ptaków, (...) jest jedynym obecnie skutecznym, ale też humanitarnym i społecznie akceptowanym sposobem regulacji liczby niepożądanych gatunków” – czytamy w uzasadnieniu uchwały. – To jak zatrudniać na etacie osobę z packą na muchy, by tępiła owady – skomentował Kazimierz Walasz, prezes Małopolskiego Towarzystwa Ornitologicznego, który jako alternatywę wskazał zakaz dokarmiania gołębi na Rynku. Radni miejscy nie odnieśli się do propozycji Balcewicza. Proponujemy, aby rozważyli zatrudnienie miejskiego hodowcy koni arabskich oraz zastąpienie firm deratyzacyjnych bardziej tradycyjnymi szczurołapami.



Rys. Piotr Blachut

Hulajnoga, piekła nie ma

Kto choć raz przez ostatnie tygodnie udał się na spacer w okolice Rynku czy Kazimierza, z pewnością je widział, a może nawet się o nie potknął. Mowa o elektrycznych hulajnogach. Wynalazek ten przebojem wdarł się w krajobraz miast na całym świecie, a teraz dostępny jest także w Krakowie. Rozwiązanie to szybko zyskało tyluż zwolenników, co przeciwników. Szczególnie drażliwa jest kwestia pozostawiania ich na chodnikach – system skonstruowany jest tak, że użytkownik po przejeździe może hulajnogę zostawić w dowolnym miejscu. Krytycy wskazują, że hulajnogi często zostają porzucone na środku drogi, stwarzając zagrożenie dla pieszych, a zwłaszcza dla osób starszych oraz niewidomych.

Radni Krakowa mają zamiar uregulować status prawny użytkowników e-hulajnóg. W tej chwili w świetle prawa traktowani są jak piesi, podczas gdy pojazd może rozpędzić się nawet do 25 km/h. Niektóre postulaty idą bardzo daleko – forsowany jest zakaz używania hulajnóg na obszarze Starego Miasta, a nawet całkowity zakaz jazdy e-hulajnóg po chodnikach. Hajda! Hulać, póki można!

Źle zakonserwowany bałwan

W lutym w Szaflarach pod Nowym Sączem stanął Skoczus. Takim mianem mieszkańcy miejscowości ochrzczili 7-metrowego bałwana, którego gmina wzniosła na cześć Dawida Kubackiego, skoczka narciarskiego pochodzącego właśnie z Szaflar. Pod olbrzymim bałwanem fotografowali się mieszkańcy, a samemu Kubackiemu uroczysto wręczono akt własności Skoczusia.

Śnieg dawno stopniał, a sprawą bałwana zainteresowała się Małopolska Konserwator Zabytków. Jak się okazało Skoczus powstał na terenie dawnego dworu Uznańskich, który spłonął w 1923 roku. Badania wykazały, że ciężkie pojazdy, które zwoziły śnieg na bałwana, naruszyły wpisane do rejestru zabytków fundamenty, gmina nie wystąpiła zaś o zgodę na prowadzenie prac na terenie dworu. Trwa szacowanie strat. Mówi się, że gminie grozi grzywna w wysokości nawet 500 tys. zł. Skoczusiowi sporo zabrakło, aby stać się największym bałwanem na świecie. Ma jednak duże szanse, aby zostać najdroższym.

Kraków w kosmosie

Krakowskie uczelnie mogą pochwalić się pierwszym własnym satelitą. Studenci AGH i UJ wspólnymi siłami stworzyli KRAKsat – satelitę, który na orbicie ma wykonać dość specyficzne zadanie: zbadać, czy po wprawieniu w ruch, ciecz magnetyczna (tzn. ferrofluid) wpływa na położenie satelity na orbicie. Jeżeli wynik okaże się pozytywny, badanie krakowskich studentów może zrewolucjonizować światowy przemysł kosmiczny – użycie ferrofluidów jest tańsze i mniej zawodne od obecnych systemów orientowania satelitów na orbicie. KRAKsat został wystrzelony wraz ze Światowidem – komercyjnym satelitą skonstruowanym we Wrocławiu – z ośrodka NASA na wyspie Wallops. Oprócz ferrofluidu zabrał ze sobą także... kartę microSD. W ramach akcji „Lecę w kosmos” każdy zainteresowany mógł umieścić w satelicie dowolny materiał graficzny lub zdjęcio- wy. Łącznie w akcji wzięło udział 1,2 tys. osób.



Rys. Małgorzata Tabaka

Beata Stankiewicz, *Pracownia Cézanne'a*, olej na płótnie, 240 x 180 cm, 2018

Klub przyjaciół miesięcznika KRAKÓW



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
 Piotr Maciukiewicz, Kraków
 Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
 Grzegorz Szymański, Warszawa
 Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
 Aleksander Skotnicki, Kraków
 Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
 Beata i Wojciech Starowiejscy, Kraków
 Andrzej X., Kraków
 Stanisław Dudzik, Kraków

Adam Michnik, Warszawa
 Marek Borkowski, Kraków
 Janusz Szerla, Kraków
 Grzegorz Kogut, Kraków
 Robert Barański, Kraków
 Józef Palinka, Warszawa
 Krzysztof Kołtun, Chełm
 Marek Braun, Kraków
 Krystyna Zachwatowicz, Kraków
 Wanda Chmielowska, Kraków
 Aleksander Herzog, Warszawa
 Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
 Jacek Purchla, Kraków
 Gwidon Dziwoki, Kraków

Artur Wolski, Warszawa
 Kazimierz Sumera, Zawoja
 Lidia Hanusiak, Kraków
 Andrzej Gaworski, Warszawa
 Tomasz Janowski, Kraków
 Józef Opalski, Kraków
 Halina i Leszek Domańscy, Kraków
 Katarzyna Janowska, Warszawa
 Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
 Stanisław Bisztyga, Kraków;
 Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;
 Krzysztof Bień, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
 pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
 31-154 Kraków
 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
 tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
 – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
 Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

W poszukiwaniu normalności

Tekst: Jerzy Pilch

Tak jest, jestem zneurotyzowany. Tak jest, mam swoje szajby i odchylenia od normy. Kto ich nie ma?

1.

Ale świat ostatnio mocno chwyta mnie za kark i przyciska prawym polikiem do chłodnej, nieotynkowanej ściany; robi wjazd na moją chatę niczym grupa antyterrorystów, i to takich wygłodniałych, niekrajowych antyterrorystów przekupionych przez największy kartel narkotykowy Ameryki Południowej. Rozumiecie, co mam na myśli? Przed nami cały maj, przed nami (w kolejności punktowej) Legia, Lechia, Piast, Jagiellonia i Zagłębie Lubin. Cracovia miejsce szóste. Bajeczne miejsce w loży mistrzów. Nie jest źle. Bywało gorzej i to pozwala mi docenić, że nie jest źle. Ale żeby jakieś większe emocje? To nie. Powtórka zeszłego sezonu czai się już w szafie, jest już blisko. Tak jak koniec rozgrywek.

2.

A chciałoby się, żeby było inaczej, żeby nie tym razem, żeby złoty wieniec laurowy ozdobił głowę tego, kto gra najlepiej. Odejdźmy na chwilę od piłki. Piłka to życie, życie to piłka.

Chciałoby się rano wstać, ubiczować plecy rozkosznie gorącym prysznicem, napić się kawy zmielonej przeze mnie w młynku ręcznym i pieczołowicie zaparzonej przez żonę; chciałoby się przeczytać gazety, zasiąść przy biurku, po skończonej pracy chciałoby się przekąsić lekki obiad, wyjść do dobrze zaopatrzonej księgarni, obłowić się w kilka tytułów, po czym wrócić i mieć spokój. Spokój ciała i spokój ducha.

3.

Mam wrażenie, a może i pewność, że tu, gdzie żyję, o normalność i spokój jest najtrudniej. Żyję w kraju, w którym w barku szpitala onkologicznego ledwo żywa łysa kobieta o szarej twarzy i nieruchomych oczach zamawia barszcz czerwony i popętnia jeden z największych błędów swojego życia. Zapomina dodać, że ten barszcz jest na wynos. Prośbą o przelanie owego barszczu do jednorazowego kubka rozwściecza ekspedientkę, która wybucha i ledwo żywą zaczyna opierdalać, opierdalać

Żyję w kraju, w którym ksiądz łączący od sali do sali szpitalnej po odmowie skorzystania przez chorych z usługi „spowiedź” mówi do pielęgniarek: „Ci to nigdy. Może głusi?”.

z całych sił. A ja stoję obok i czuję żal, a żar zaczyna palić mi szyję.

Żyję w kraju, w którym ksiądz łączący od sali do sali szpitalnej po odmowie skorzystania przez chorych z usługi „spowiedź” mówi do pielęgniarek: „Ci to nigdy. Może głusi?”.

W kraju, gdzie salowa ma moc uzdrawiania chorych i wskrzeszania umarłych, dlatego lepiej nie zwracać jej głowy sprawami tak przyziemnymi jak oddawanie moczu.

Tak toczy się właśnie dzień za dniem w miejscu, gdzie czas nie istnieje, w miejscu zwanym szpitalem, który jest rzeczywistością równoległą do normalnej, naszej polskiej rzeczywistości. Tutaj nie ma znaczenia, czy Legia mistrzem, choć muszę przyznać, że tuż po skończonym badaniu na pytanie lekarza o moje samopoczucie krzyknąłem: „CRACOVIA PANY!”.

Chcielibyście zobaczyć minę doktora. Kolejny dowód na to, że kibicem się nie bywa. Kibicem się jest. A ja, jak wiadomo, jestem kibicem Cracovii.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

Kopalnia Soli „Wieliczka” TURYSTYCZNA & GÓRNICZA



Witaj w kopalni tajemnic

www.kopalnia.pl



MIASTO TORUŃ

One of the most **RECOGNISABLE** cities of Poland

Birthplace of **NICOLAUS COPERNICUS**

Legendary taste of **TORUŃ GINGERBREAD**

One of Europe's most **PICTURESQUE AND UNCHANGED**
for centuries **OLD TOWN**

Visited by over **2,3 MILLION** tourists every year

Place of many international **CULTURAL & SPORTS EVENTS**

One of the best **UNIVERSITY IN POLAND**

Included in the register of **UNESCO WORLD HERITAGE LIST**



www.torun.pl
www.visittorun.com